

# KOMEDYANCI.



Mieczysław Zieliński



# KOMEDYANCI.

POWIEŚĆ

PIĘKNA

J. I. Kraszewskiego.

...wszyscy na to tize  
Ja djabło lubię i str. bo jak się zajatrzę  
To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi.  
FREDER. Proszę cię.  
...om tu... t histro... m.  
PRAKTYK

Tom II.

Wydanie drugie poprawione przez Autora.

BWA



PETERSBURG I MOHILEW.

NAKŁADEM BOLESŁAWA MAURYCEGO WOLFFA

1855.

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury  
w Wilnie oznaczonej liczby exemplarzy.

Wilno, dnia 16 Lipca 1854 roku.

*Podp.* **Paweł Kukolnik.**

Oderwijmy się na chwilę od Denderów, a prze-  
nieśmy się z Wacławem na tenże świat kome-  
dyantów, ale w inną jego stronę. Wyjechał nasz  
sierota z Denderowa, spodziewając się zastać  
w mieście opiekuna swego hrabiego; jakoż zje-  
chali się tutaj, ale hrabia tak był zajęty zagro-  
żonym kluczem swoim, konfiskatą i wszystkimi  
jej dla siebie następstwami, że ledwie kilka  
słowa przywitawszy Wacława, obojętnie go  
odprawił:

— Mówiłem już o tobie kilku znajomym,  
masz w ręku sposób do życia, masz niezaprze-  
czony talent: idź teraz i pracuj. Życzę ci jak  
najszcześniejszego pokierowania.

Wacław wynurzył inną swoją wdzięczność gorąco, prawie ze łzami, ale wyrazy jego dziwne jakoś na hrabi uczyniły wrażenie; zdawały się go kęsać jak wymówki: poczerwieniał, pobladł, obłąkaném okiem powiódł dokoła i przerwał szybko:

— Dość tego! proszę, dość! niech ci Pan Bóg szczęści. A oto—dodał—na początek grosza trochę. Żegnaj cię panie Wacławie, żegnaj!...

I tak kilka razy powtórzył dobitnie to *żegnaj*, że młody człowiek, mimo rozczerwienia, domyślił się wreszcie, iż chce się go pozbyć, i z nicoschłemi łzami, z niepokojem w duszy, oddalił się. Ostatnie węzły, co go z kimkolwiek jeszcze łączyły na świecie, pękały; pozostał teraz sam, najzupełniej sam; a myśl, że nie było istoty, coby się już nim zajmowała, któraby go szukała okiem i przypomnieniem, coby go aniołom stróżom cichą polecała modlitwą: nowe łzy wycisnęła mu z oczu. Poszedł ulicą nie wiedząc dokąd, i nieprzytomny zbliżył się tak aż do brzegów pięknej rzeki, która pod Żytkowem płynie.



Tu usiadł znużony, gotując się do nowego życia, chcąc plan jego nakreślić, a nie umiejąc się zebrać jeszcze na krew zimną i dłuższy ciąg myśli. Siedział tak nieruchomie, patrząc na wodę płynącą, na otaczające ją urwiska skaliste, dumając urywanemi marzeniami, nie śmiejąc spojrzeć na jutro, nie wiedząc co zrobić z sobą; i późnym dopiero wieczorem powrócił do skromnego mieszkania, które sobie był najął na oddalonej i cichej uliczce. Trochę zapasu wystarczało mu ledwie na najęcie fortepianu, tuzinkowego klepadła, i wyżycie ubogie do czasu, w którym o swych siłach stanąć się spodziewał. Zdawało mu się, że skromnie mając żądania, że niewiele rojąc, pragnąc tylko doskonalić się i skromnie utrzymać życie, łatwo zaspokojony zostanie.

Trzeba się jednak było dać poznać: i w tém największą przewidywał trudność. W każdym mieście są jacy tacy dyletanci: do nich trafiając, zdawało mu się, że pójdzie dalej przez nich popelnienoty; ale miejscy główni muzyki amatorowie tyle mają do czynienia! Ilużto przyja-  
cioł i znajomych córki i synowie klapiają im na

fortepianie! ilu wędrownych żydków narzuca im po sto biletów koncertowych do rozdania! ilu wielkich artystów raczy żyć kosztem ich kieszeni i czasu w przejeździe przez miasto! Dyletant znany i uznany za dyletanta, w ustawiczném jest utrapieniu; nie wiem, jak mu muzyka w ostatku nie obmierźnie. Znałem kogoś co lubił pierogi z sérem, i tak go niemi wszędzie traktowano, że w końcu w usta ich już wziąć nie mógł; toż samo w ostatku być musi z lubownikami muzyki, których pod pozorem ich passyi karmią najdziwniejszą strawą, a czasem, Boże odpuść! nawet gammami siedmioletnich bębnów! Listy rekomendacyjne hrabiego do dwóch takich panów, które Wacław odniósł, na niewiele mu się przydały. Pierwszy zajęty niecziniernie promowaniem własnego syna, który jakoby wielki talent okazywał na fortepianie (bo któż dziś nie gra na uim z talentem?) nie miał czasu dla Wacława, i obawiał się go jako współzawodnika: posłyszał granie i zamknął mu drzwi swoje, osądziwszy w duchu, że syn jego zniknie przy tym przybyszu. U drugiego z dyletantów wszyscy w domu byli cho-

rzy: nie godziło mu się w złą godzinę naprzykrzać. Zresztą żywej duszy znajomój nie miał Wacław, i z bojaźnią poglądać poczynął na wypróżniający się zapasik.

Pozostawała mu pociecha w muzyce, a czas upływał szybko na przechadzkach, graniu, kompozycji i rozważaniu dzieł mistrzów, które całemi godzinami mógł przepatrywać w magazynie pana Gr. Ale trzeba było coś począć wreszcie; chodziło o to jak? Wacław całkiem nie wiedział. Proszony, by zagrał, kilka razy dał się namówić do spróbowania wiedeńskich piano Gr., którego miał szczęście oczarować. Kilka osób wchodzących i wychodzących z magazynu, było przytomnych; zatrzymali się i słuchali. Pan Gr., znawca i sam muzyk, spytał go nareszcie: — Czeemu pan nie dasz koncertu?

Wacław uśmiechnął się i zniłczał. Nietrudno było domyślić się przyczyny.

Jednego wieczora, gdy sam-na-sam byli z właścicielem magazynu, młody muzyk szczerze mu odkrył położenie swoje.

— Radbym się dać poznać, znalazłbym może jakie lekcye w mieście; ale pan wiesz, że

koncert drogo kosztuje, a niewiadomo co przyniesie? Najęcie sali, zapłacenie orkiestry, światło, afisze, usługa, wszystko to znacznych wyciąga nakładów, a kto więc, czy się nawet powrócą?

— Nadto pan masz złe wyobrażenie o naszym miasteczku — rzekł pan Gr. — spróbuj, ja ręczę, że się uda; za drugi, trzeci, czwarty nie założylbym się, ale za pierwszy ofiaruję kosztą ponieść: wrócisz mi je pan potem. Pozwól tylko przestrzedz się, że niepotrzeba pisać w afiszu zkąd przybywasz, lepiej niech się domyślają że zdaleka; reguła ogólna: im z dalszego świata kto przyjeżdża do nas, ten lepiej przyjęty; powtóre, cenę biletu położyć potrzeba wysoką, nadzwyczajną. Ja bilety w magazynie moim rozprzedawać obowiązują się.

— Ależ wysoka cena ich odstreczy!

— Bynajmniej! jestto stary fałszywy bardzo przesąd. Pierwszy co dotknął tego starzałego a fałszywego wyobrażenia, i dał nam wszystkiin piękny przykład, był berdyczowski S.....l. Doszedł on, że towar im droższy, tém pochopniejszy, więcćj sprawia pokusy i przyje-

inności kupującymi: raz, że w istocie dobry; powtóre, że się ceną jego miłość własna chwalić może: ja idę w jego ślady, i nieźle mi z tém weale. Tak we wszystkiém, za co się drogo płaci, w tém się szuka czegoś odpowiadającego cenie. Bądź co bądź zresztą, spuść się pan na moje doświadczenie.

Wacław zamilkł.

— Ale co straszniejsza — rzekł — to wybór sztuk koncertowych; bo proszę pana jak dogodzić tak licznym wymaganiom różnego rodzaju słuchaczy?

— O! na to jest pewna formuła — odparł, uśmiechając się pan Gr. — reguła nieinylna prawie i uświęcona zwyczajem: 1. Uwertura, rozumie się. 2. Coś bardzo trudnego, bo trudne podoba się nieznawcom, co za znawców uchodzić pragną. 3. Coś śpiewnego dla tych, co muzykę tylko jako melodyą pojmują. 4. Coś krajowego dla tych, co krajowe wyżej wszystkiego cenią, na przykład mazurek Chopin'a, krakowiak Kątskiego, ruskie melodye Każyńskiego, aby wszystkim było zadość. 5. Coś sme-

tnego dla kobiet histerycznych, bo ich protekcyja daleko pana zaprowadzić może... Zresztą...

— Ależ drogi panie — przerwał Wacław — chociaż nieuk nie jestem i wiele czasu straciłem na wyłamanie palców, na nabycie szybkości, na usamowolnienie ręki: odrazę mam od téj bieganiny i siekaniny staréj szkoły Herzów i Czernych, lub stukaniny mądréj Liszt'a, który chce z dziesięciu dwadzieścia zrobić palców.

— To nieuchronne przecie, a drugie może improwizacya (choćby przygotowana); ale mówmy co wybierzemy.

— Już jeśli trudnego potrzeba, naturalnie Liszt'a: jestto przynajmniej muzyka.

— Bardzo dobrze! Liszt jest uosobieniem najwyższych trudności; ale co pan możesz zagrać z niego, bo *Erlkoenig* oklepany, a *Staendchen* panny nawet się uczą.

— Bodaj symfonią Berlioza przez niego przepisaną!

— O! to zamądre dla nas, a zwłaszcza zadługie; tak coś krótszego, a *con brio*, na przykład marsz węgierski, jeśli go pan grasz?

— Gram i nieźle!

— Więc po uwerturze, którą wybierzem, wypróbawwszy wprzód w jakiej nasza orkiestra najmniej robi omyłek, marsz węgierski Liszt'a; dalej...

— Wedle teoryi pańskiej potrzebaby coś śpiewnego.

— Niechybnie! Ale tyle jest rodzajów śpiewu! Zobaczymy do kogo pan masz słabość.

— O! naturalnie do Chopin'a.

— Ciężko go tu pojmują; i panny piętnastoletnie, które go zrozumieć nie mogły, zrobiły mu reputacyą excentryczną.

— To zależy od wykonania; zobaczysz pan, że z nim pogodzę.

— A dalej panie kochany coś krajowego.

— Mazur Chopin'a lub jego krakowiak, i Thalberga fantazyja z tematów narodowych ruskich.

— Zgoda. zgoda! prześlicznie. Nareszcie dla tych pań o których mówiłem, trzeba koniecznie coś... Schuberta.

— Zgoda i na Schuberta, choć wołałbym jedną z sonat jego. niż śpiewek; ale kto wysłucha sonaty?

— Otóż i program gotów. Winszuję panu, że tylu i tak różnych pisarzy grać możesz; po większej części artyści nasi grają szczególnie jednego, przywiązując się do niego; lub co gorzej, grają swoje. Ale, nie maszże pan co swego?

— Swojego! Grałbym się nie odważył.

— A! przecieżto teraz prawie konieczna przy każdym koncercie; niepodobna żebyś pan choć jakiej fantazyjki nie miał na smnieniu?

— Gorzej panie! gorzej! sonatę!

— A do licha! tak stara denominacya! Uchodź Boże: zgubiłbyś się pan sonatą z nienkami i ze znawcami: piérwsiby na nią krzyczeli, że odwieczna; drudzy mogliby zawiele od niej wymagać.

— Chopin sonatę odświeżył.

— Nazwij pan jednak fantazyą: to zupełnie jedno; mamy przykład Beethovena.

Długo tak jeszcze rozmawiali, a pan Gr. ze szczególném zajęciem wziął na siebie dopomódz biednemu przybylcowi, który z bijącym sercem oczekiwał koncertu. Jak tylko ogłoszenia i afisze przyklepione zostały, a cena po



dukacie od miejsca rozeszła się z ust do ust, poczęto wypytywać pana Gr., a ten Wacławowi mistrzów nie żałował. Opowiadał wszędzie, że uczył się u Liszt'a, u Thalberga, u Chopin'a i Bóg wie tam u kogo; zaręczał, że gra jak sam Liszt, że to prawdziwe cudo, i że nigdy nie podobnego w Żytkowie nie słyszano.

Koncert, dzięki zabiegłości i staraniom pana Gr. był dość liczny, i dochód z niego na czas jakiś uspokoił Wacława; gra jego jednak nie tyle się podobała, ile protektor zdawał się spodziewać. W każdej sztuce wiele tłumowi imponuje szarlatanerya: téj całkiem brakło skromnemu Wacławowi, i to mu najwięcej szkodziło. Ludzie tylko tym po większej części wierzą, którzy głęboką w siebie okazują wiarę. Wacław jej nie miał. Powtóre: każdy z tych co choćby najgorzej grali na fortepianie, miał sobie za obowiązek okazać swe znawstwo krytyką, i coś w koncertancie znalazł do zganienia. Takich kilku wpłynęło na resztę, radą powtarzać techniczne ich wyrażenia, przedając je za swoje. O! z czego się to składa sąd i opinia powszechna!! miły Boże! miły Boże!

Pomimo więc najlepij obmyślanego planu koncertu, chociaż chwalono bardzo grę piękną Wacława, nie potrafił zrobić *furore* jak pierwszy lepszy Niemczyk lub Francuzina, co by przyjechał z długimi bardzo włosami i ogromną o sobie opinią. Kilka pań dylletantek, których córki pragnęły nabyć metody, życząc sobie prócz tego w domach swych oprócz herbaty, kart i wina dać jeszcze gościom muzykę nową, zapoznały się z Wacławem. Poczęto go zapraszać bardzo uprzejmie, z tą grzecznością upokarzającą, którą panowie wyrabiają w sobie umyślnie dla artystów i chowają dla nich tylko; ale nikt, lub tak jak nikt, nie zaproponował mu dawania lekcyj.

Proszone wieczory i ranki muzykalne, do reszty wycieńczyły muzyka: bo ciągnęły za sobą choć małe, ale dla niego powtarzaniem codziennym znaczące wydatki.

Któż nie wie, że niejeden podobny Wacławowi młody człowiek, nieraz nad parą świeżych rękawiczek, zabłoceniem butów lub zapłatą doróżki, westchnąć musi.

Jeden pan Gr. pocieszał go i nadziei dodawał, ale kilka miesięcy pobytu w Żytkowie dowiodły Wacławowi, że tu wyżyć nie potrafi. Miał tylko dwie, tanie i źle opłacane lekcye; innóstwo zaproszeń przyjacielskich, za które odegrywać musiał jak za pańszczyznę, a do tego tuzin zazdrosnych, nieznanych nieprzyjaciół. Muzycy chleboroby żytkowscy, co żyli z dwuzłotowych i półrublowych swych godzin, posłyszawszy jego grę; poczuli wszyscy, że prędzej czy później przepaść im przyjdzie, jeśli sobie nie poradzą. Poczęli więc na różne sposoby szkodzić Wacławowi w opinii, jako człowiekowi i artyście. Jeden z nich, gruby, tłusty a wesoły, dobra dusza powszechnie zwany, pan Falankiewicz, dowodził głośno: że Wacław był niechybnie szpiegiem; drugi utrzymywał, że grał bez taktu; trzeci, że był samouk i brakło mu metody klassycznej (ten uczył się u organisty w Berdyczowie). Nosili się z temi zdaniami po mieście, i jak każda u nas plotka, choć w setnej części przyjąć się musi. przyjęły się pracowite ich potwarze tu i owdzie.

Przybiwszy w ten sposób, niepokoił się jeszcze widząc go w Żytkowie, bo dla każdego z nich było naprzód żywy wyrzut sumienia, a w dodatku strach nieustanny, żeby się na nim nie poznano, żeby kto jako nowego spróbować nie chciał.

Falankiewicz, który przy wielkiej massie ciarła, miał także dobrą dozę sprytu, postanowił zająć się wykurzeniem go (jak mówił), zapoznać z nim, zaprzyjaźnić i dopomódz do wyjazdu, wszelkimi sposoby mu go ułatwiając.

Z początku rad był tej znajomości Wacław, ale jakże się na niej zawiodł! Myślał, że w towarzyszcu znajdzie pokarm dla duszy i serca, rozmowę o sztuce, pomoc w kształceniu się; a trafił na człowieka, który umiejac ledwie tyle, żeby uczyć, cierpieć nie mógł swego chleba, żyjąc cały próżnowaniem, kartami i plotką.

Pierwszemu słowy Falankiewicza było narzekanie na los, zwykłe artystom.

— Coto paucie życie nasze: at! nędza! biéda! Gdzieto się na nas poznają, gdzieto nas jak należy zapłacą; ale człek skazany na te galery, biédcę klepie i drwi z ludzi.

— Pan, zdaje mi się, skarżyć się jeszcze nie możesz.

— Ja! ja! Czyż gdyby człowiek nie był żonaty — odparł Fałankiewicz — nie chwając się, nie wybrałby się na większy świat, nie znalazłby i sławy i grosza jak drudzy! Ale tu, nie chwając się, żona, dzieci, przywyknienie, zresztą, nie chwając się, ociężałem. Niech diabli wezmą, osiadłem w tej dziurze, a to taki dziura! Na pierwsze zaraz wejście — mówił dalej uśmiechając się — powziąłem dla pana przyjaźń, i nie chwając się, litość mić nad nim wzięła. Trzebaż panna było wpaść w taką, nie chwając się, otchłań! Szkaradna, głupia i przepaskudna miejscina; na jego miejscu, z jego młodością i talentem, wiedziałbym, nie chwając się, co zrobić! Oj! nigdybym tu nie mieszkał!

Wacław ruszył ramionami.

— Ale gdzież lepiej artyście? — spytał.

— Gdzie? Nie chwając się, wszędzie — odparł Fałankiewicz — byle nie tu: tu panie piekło! Ludzie albo głupi, albo źli, albo skapi...

— Godziż się sądzić ich tak ostro, bez wyjątku?

— A! to jeszcze, nie chwaląc się, lekko — dodał—Pan ich jeszcze nie znasz: ja, nie chwaląc się, wiele tu straciłem. a cóż zyskałem? Goły jestem, nie chwaląc się, jak i byłem, jak bizun; i żebyż wdzięczność, żeby trochę uczucia, żeby kto choć na imieniny wyszył mi poduszkę! gdzie tam!

Wacławowi wszystkie te czeze perory nie trafiały do serca: czuł w nich, jeśli nie zdradę, bo tej domyślać się nie mógł, to przynajmniej głupotę i deklamacyą oklepaną; Falankiewicz tymczasem mówił a mówił i powtarzał nieustannie swe skargi i żale, mnożąc czernidła, któremiby mógł Wacławowi pobyt w Żytkowie obmierzić. Wacław siedział i słuchał zimno.

Postrzegł po jakimś czasie pan metr, że niewiele wskórał, i uplotłszy projekcik, czekał. żeby mu się zdarzyła zręczność przyprowadzić go do skutku. Trafiło się właśnie wkrótce, że przybyła z prowincyi do Żytkowa pani jakaś szukająca dla dziecici nauczyciela muzyki. Falankiewicz dowiedziawszy się o tém, wpadł zaraz do Wacława z miną tryumfującą dobroczyńcy: zacierając ręce i czuba, i zawołał:

— Zawsze miałem prawdziwą przyjaźń dla pana Wacława...

— Prawdziwie, radbym na nią zasłużyć, chciałbym ją zawdzięczyć.

— Przyjaźń moja, nie chwaląc się, jest bezinteresowna;—rzekł Falankiewicz zasiadając—każ mi dać fajki i czém się ochłodzić, choćby kieliszek wódki...

Po chwili spoczynku, protektorskim ciągle tonem, przybyły ciągnął dalej:

— Wić pan, nie chwaląc się, trafia się okoliczność jedyna dla pana.

— Cóżto być może takiego?

— Przybiegłem, nie chwaląc się, unyslnie z tą wiadomością, by go uprzedzić; jest wielu, coby mogli pochwycić przed panem; warto się pospieszyć. Możesz pan mieć wyborne miejsce na wsi....

— Miejsce na wsi; ja najmniej sobie tego życzę.

— Jakto! Wszak nie ma panie szczęścia jak na wsi! Uściskaj mnie pan, nie chwaląc się—pochwycił Falankiewicz—to jest okoliczność jedyna, nie ma jak wieś! Co pan masz robić w mieście?

— Powoli, znalazłbyś może.

— Niebys pan nie znalazł, nie, nie chwalać się; lepij jest usunąć się na ustronie i swobodnie kształcić w zaciszy. Będiesz pan miał tylko kilka godzin zajętych, resztę czasu swobodną zupełnie, pensyjkę na pierwszy raz niezłą, utrzymanie porządne; czegoż więc życzyc można?

— Ale gdzież? jak?

— Gdzie? zaraz powiem; jak? to się mnie spytaj. Ja mam moje stosunki i sposoby, i po przyjacielsku podam ci rękę.

Wacław przejęty wdzięcznością, dziękował serdecznie, choć istotnie wracać na wieś nie bardzo sobie życzył.

— Państwo Dębicy—rzekł Falankiewicz—bardzo godni ludzie: mają dwóch synków i chcą, żeby się przykładali do muzyki.

— Dębicy!—zawołał Wacław, którego nazwisko znane w okolicy Denderowa uderzyło—pani Dębicka!

— Tak jest, pani podśedkowa Dębicka z Kurostawu!

— To w okolicy miasteczka....



— Tak jest. Znasz pan ją?

— Trochę znam... ale...

— Masz pan co przeciwko temu miejscu?

Wacław się zarumienił. Strona ulubiona, pamiętna: kolebka jego młodości nęciła go ku sobie, ale zarazem przypominał czém był ten dom państwa Dębickich i przykro ścisnęło mu się serce.

Państwo podsędkowie oboje odegrywali komedya dobrego tonu; dom ich doskonale śmieszny i odstręczający, dla Wacława ostatnim był, do którego by się dostać, nawet nie mając kawałka chleba, pragnął. Dębicki niegdyś ekono-mował: co najmniejsza; ale to był grubianin, bez wychowania, chciwy, spanoszony kradzieżą; a że się już zinógl na dwie wioski, udawał podpanka, nabrał potężnego tonu i za pan brat chodził bodaj z książęty. Żona jego, (dobrze dobrana para) krzykliwa baba, jak on skąpa, jak on kłóthliwa, opryskliwa, sekutnica; poczyniała także chorować na tony pańskie, i dlatego chłopców swych przedewszystkiém uczyć chcieli francuzczyzny i fortepianu, angielskiego języka i czego tylko nie umieli sami. W sąsiedztwie powszechnie

wyśmiewano się z Dębickich i brano ich na zęby, bo stroje ich, zaprzęgi, dom, meble, liberya, krygi, miny, pretensye, mowa, były istotnie godną śmiechu karykaturą. Jejmość ongi, garderobiana w książęcym domu od lat dziecinnych, trochę liznawszy francuzczyzny, paplała nią w najokropniejszy sposób i prawila zupełnie seryo największe niedorzeczności; sam pan śniało wspominał ojca swego starostę, dziada podkomorzego, choć wszyscy wiedzieli, że jeden był podstarościm, a drugi marszałkiem dworu.

Taki to dom otwierał się Wacławowi; ale gdy w każdym innym razie byłby propozycją odrzucił, teraz znudzony jakąś tęsknotą, wyczerpnawszy środki utrzymania, jakkolwiek czuł wielki wstręt od Kudrostawu i zawahał się, gdy mu o nim wspomniał Falankiewicz; wziął jednak rzecz do namyslenia.

Nazajutrz jeszcze niepewien, czy miejsce to przyjdzie, naglony, postanowił pójść z Falankiewiczem do pani Dębickiej. Stała ona w zajędnym domu na Cudnowskiej ulicy, dosyć pokąźnie i wypakowywała swe stroiki, sądząc, że

jój w Żytkowie będą potrzebne, gdy wszedł znajomy jój Falankiewicz z Waławem.

Pani podsędkowa mogła mieć lat około czterdziestu, ale zachowała się świeżo i zdrowo, a rumiane wydęte policzki, świadczyły, że miała się dobrze i że jój na niczem nie zbywało. Na pićrwszy rzut oka poznała wychowauca hrabiów z Denderowa i pochlebiło jój to niezmiernie, że ten, który dawał lekcyę hrabiance, może uczyć jój synów. Waław postanowił założyć wiele, żeby miał powód powiedzieć sobie: — Cóżem winien: próbowałem, nie udało mi się; rozum bowiem nie pozwalał odrzucać, a serce wstręt czuło nieprzezwyćieżony.

— A! wszakto pan Waław! a *Bon soir*, *Monsieur* Waław! a to pan! Bardzom rada, znaleźć znajomego w tym kraju!

— I ja pani dobrodziejko.

— Jaki to pan Falankiewicz szczęśliwy, że na pana trafił.

— W istocie — odparł otyły metr z ukosa mierząc oczyma oboje — nie chwalać się, bardzom szczęśliwy, bo widzę, że państwo się ławtwo ułożą i będą z siebie kontenci.

Po tych grzeczościach przyszło do rzeczy, a Wacław pospieszył zażądać wiele, by od siebie odstręczyć, ale Fałankiewicz z góry go zakrzyczał:

— Nie słuchaj pani podsędkowo dobrodziejko! musi on od tego odstąpić...

I jak zaczęli go męczyć we dwoje, artysta który brzydził się tym targiem i przedawaniem siebie, zmęczony, nieco ustąpić musiał. Tak niespodzianie przyszło do zgody z radością wszystkich, ze smutkiem jego.

Chwycił się za głowę wyszedłszy z tego domu, pomyślawszy, że się zaprzedał, a Fałankiewicz powiódł go odurzonego daniem słowem do winiarni i kazał się poić na rachunek należnego pośrednikowi mohoryczu; pożyczyl w ostatku kilka rubli u Wacława i tak go uśmiechając się odszedł.

Nazajutrz rano zaraz pani podsędkowa Dębicka ze zdobyczą swoją, zaczęła się w podróż wybierać, kończąc szybko sprawunki zapasów do domu, które jako tańsze w Żytkowie skupowała.

Wacław widząc nieuchronnym wyjazd, smutnie przygotował się do drogi, bez żalu opusz-

czając miasto, którego nie polubił, do którego przywiązać się nie miał czasu, z którym go nie łączyło. Może też myśl tajemna, z której sobie nie zdawał sprawy, myśl zbliżenia się do Denderowa, słodziła mu przykrą perspektywę pobytu w Kudrostawie.

Około południa nałajawszy żydów, nakłóciwszy się z kupcami, nakrzyczawszy na pijanych ludzi, pani podsejdkowa siadła do koczka ze służącą, wskazując Wacławowi miejsce na przodzie, i w milczeniu rozpoczęła się podróż, która artystę zwracała nazad ku rodzinnemu kątkowi świata, opuszczonego niedawno i pożegnanemu na długo, a jakimś losem zbliżającego się znów ku niemu.

---

Spójrzmy co się tam działo.

Hrabia i rotmistrz oba widzieli się w konieczności okazania odwagi, oba nie wiele jój mieli i najnniejszėj nie czuli ochoty narażania życia i dostarczenia sąsiedztwu wątku do plotek złośliwych. Rotmistrz wprawdzie tchórcem nie był, ale od niejakego czasu wywietrzała mu dawna zuchwałość, zasmakowało życie swobodne, wygodne, spokojne: zaczynał nabywać brzucha, a tracić junakeryą gwardyjską. Dobrze rozmyśliwszy się, hrabia sam pojechał do pana Powwały i z miną poważną człowieka, który głęboki kryje smutek w sobie. usiłując go zwyciężyć; wszedł niespodzianie do

zadumanego wojaka. Rotmistrz zmieszał się na ten widok, i przyjął go nie bez wzruszenia i wstydu: czuł się winnym w obec niego.

— Rotmistrzu!—odezwał się hrabia gdy zostali sami — nie róbnij zgorszenia na pociechę kochanym bliźniom, i utopmy interes ten w niepamięci. Wiem, że żona moja chwilową tylko i niewiele winną załotność ma sobie do wyrzucenia, że ty może usłuchałeś mimowolnie pierwszego popędu, nad którego skutkami zastanowić się nie chciałeś, i szczęściem całe to zdarzenie pokrywa dla wszystkich tajemnica; zostawmy jak jest całą sprawę i dajmy sobie pokój. Kładnę tylko jeden warunek—dodał hrabia.

Rotmistrz, który się takiego rozwiązania nie spodziewał wcale, cierpliwie słuchał ciągle zmieszany.

— Oto nie będziesz pan nadal wcale myślał o żonie mojej, nie będziesz robił słodkich oczek: zachód byłby daremny, przestrzegam.

Rotmistrz ruszył ramionami.

— Panie hrabio! — rzekł — jeśli mnie masz choć po części za wytłumaczonego, boś i sam był młody...

Dendera zinarszczył się, bo miał jeszcze do młodości pretensyą, a rotmistrz postrzegłszy baka, poprawił się:

— Boś i sam miał chwile uniesień... naturalnie, że byłbym najpodlejszym z ludzi, gdybym pomyślał o zamąceniu mu spokoju...

— Wierzę! wierzę! — szybko zawołał hrabia—ale tu przedewszystkiém chodzi o to, żeby świat o niczém nie wiedział, niczego się nie domyślał. Jeśli pan nagle zerwiesz stosunki z nami, jeśli, jak mam szczerą intencyą, natychmiast panu wypłacę jego sumnę, ludzie muszą się czegoś domyślać; będę posądzany: a i to dla mnie, dla imienia Denderów, już wiele.

Na wspomnienie sumny, rotmistrz nieznacznie zagryzł usta, ale musiał zamilczeć.

— Trzeba więc—mówił hrabia — żebyś pan u nas bywał jak przedtém, zachował dla nas przynajmniej pozór, jeśli nie uczucie przyjaźni; a nie widzę zresztą potrzeby, byśmy sobie w łby strzelać mieli...

Hrabia, który tak wspaniałomyślnie udzielił przebaczenia, znalazł łatwym do pojednania rotmistrza, któremu chociaż konkluzya co do



kapitału nie podobala się, ale za to bywanie w Denderowie miłym było obowiązkiem.

Kazał przynieść szampana, bo jako ex-rotmistrz wszystko przywykł zaczynać i kończyć sztyką srebrzystą, i przy kieliszkach stanęła zgoda najśmieszniejsza w świecie, a rozmowa z drogi stromiej i śliskiej zeszła na bity gościnnie oklepanych pytań i odpowiedzi. Oba jednak, gość i gospodarz, czuli się jakoś nieswoi, biędni, skłopotani; i byliby tak długo nie wytrwali, gdyby sąsiad pan Cieleńcewicz nie wpadł z wizytą. Radzi mu byli jak nigdy.

Pan Cieleńcewicz, niegdyś deputat jakiś, niewiadomo kiedy i do czego, był mężczyzną lat około pięćdziesięciu, suchy, chudy, brzydki, z olbrzymim bladym nosem, ostreimi małemi oczkami, wąsami i brodą zawieszistą; chodził najczęściej w jakiegoś rodzaju fantastycznej siérnieniec, w czapeczce kwadratowej i z pałką w rękę. Posiadacz czterech chłopów w sąsiedztwie, odłużony, w kłopotach, rzadki w domu, częsty u ludzi, pokrywał swego życia pasożytnic formy pozorem jakiegoś filozoficznej propagandy. Cieleńcewicz był krótki czas

w Paryżu, a dłużej w Niemczech; wielu się rzeczy nie nauczył, bardzo wielu całkiem nie rozumiał, resztę przez pół przyswoił: a koniec końcem miał sobie za obowiązek to, czego nie umiał, nie pojął i nie rozumiał—propagować w kraju. Był to stronnik najostateczniejszych opinij, słowem, jak sam z niejaką dumą się spowiadał, komunista, falansteryanin, Saint-Simonista, razem humanitaryusz, mormonczyk i co chcecie. Długi włos jego, twarz zarosła, kapelusz spiczasty z wielkimi skrzydłami, ubranie i mowa, zwiastowały zaraz coś wielce oryginalnego. Hrabia, który go często synowi jako *exageracyą* doktryn przez niego wyznawanych wskazywał, nie mając go wcale za niebezpiecznego, śmiał się z innemi z téj karykatury socyalistów.

Cielęciewicz miał to do siebie, że gdziekolwiek był, z kimkolwiek się znajdował, o czémkolwiek mówiono, nie zważając na nic, brał się *eo instante* do propagandy, i zachwycając swém pieniem, które go naprzód samego upajało, im dłużej mówił, w tém większy wpadał zapal; a jeśli mu się kto sprzeciwił, do wściekłości

prawie doprowadzonym bywał i w oczy skakał kontradyktorom.

Podchmieleni nieco, a zakłopotani panowie nasi, powitali go nadzwyczaj serdecznie. Rotmistrz postawił kielich i zmusił do zrównania się, o co zresztą Cielecewicz prosić bardzo nie było potrzeba. Tak na razie go spoiwszy, wpuścił na drogę wynownego propagowania socyalizmu, i usiadł spokojny.

Hrabia wziął na siebie kontradykeę, bez której Cielecewicz mógłby się był opuścić, i śpiewać tylko pod nosem mniej zajmującą pieśń zwycięstwa.

— A zatém zdrowie panów! obywateli! chcę mówić—zawołał Cielecewicz—i wiwat ten wiek złoty, w którym wszyscy ludzie po chrześcijańsku kochać się będą!

— No! a kiedyżto się mamy tego spodziewać?—spytał hrabia.

— Przyjdą te czasy, kiedy ludzie podług mojej teoryi będą szczęśliwi.

— I takie czasy będą aurorą złotego wieku?

— Jakbyś tam pan był — rzekł Cielecewicz — tak mówi niemylna teoria moja, teoria a raczej formuła ludzkości.

— Tymczasem — spytał hrabia śmiejąc się — jak tam urodzaj i zbiór w Hołodudach?

— A! panie! co to za lud barbarzyński! — odparł pijając szampana Cielecewicz. — Wszak nie mogę dostać robotnika...

— Braciato! — podchwycił hrabia.

— Bez wątpienia, ale potrzebują wprzód wycywilizowania i oświaty — przerwał rezonator — bo to dziś niemal bydło! ani sposobu ich najać! Każdy z nich woli próżnować, niż pracę grosz jaki szlachetnie zarobić. Zatem więc z bolem serca i upokorzeniem ludzkości, musiałem wczoraj pięciu moim współpracownikom dać w stronę odwrotną, i posłać po policję. żeby zrobiła mi porządek. Nie słuchają!

Hrabia śmiał się na całe gardło.

— Zgadzaś się to — spytał — z pańską teorią?

— Zgadza i nie zgadza: ale to stan społeczny temu wszystkiemu winien. Bydłęta, powiadam, a w dodatku złodzieje!

— Zlituj się pan! przecież wszystko ma być wspólne?

— Tak! ale to nie teraz! — odparł zwycięzko Cieleńcewicz. — Przyjdzie czas ten błogi, przyjdzie, zobaczycie państwo lub nie zobaczycie, co to jest falanster i życie falansteryczne lub ika-ryjskie (dwie formuły niewiele od siebie oddalone): raj ziemski! istny raj ziemski! Praca taka tylko jaka się komu podoba, od niechęcenia. dla zabawki, rozkosz jaką sobie kto wybierze, hulanki od rana do wieczora, i panowanie uczciwości, cnoty...

— Jakto? — zapytał hrabia — wszyscy będą cnotliwi?

— A tak, muszą! — poruszając się mówił Cieleńcewicz — muszą! Weźmiemy człowieka od pieluszek, i jak zaczniemy go gnieść, miesić, macerować. w forinę daną i uznaną za najlepszą pakowaczkę: zmusim wszystkich rość, myśleć, żyć jędrakowo, jednakowo trawić i instynktowo spełniać cnoty. Zresztą, cnota nasza nie będzie trudna: bo, pytam się, jak tam zgrzeszyć, gdzie można wszystko robić, co się komu podoba?

— Wszystko? — spytał rotmistrz. — Jaki? —  
naprzykład i w łeb komu strzelić?

— Tego nie jestem pewny — odparł Cieleń-  
wicz szampanem owładnięty. — Ale dlaczegoż-  
by ludzie mieli wówczas chcieć sobie w łby  
strzelać?

— Ba! — rzekł hrabia, z ukosa rzucając okiem  
na rotmistrza — gdyby naprzykład dwóch ko-  
chało się w jednej kobięcie?

— No! to oba ją mieć mogą! — odparł zwy-  
cięzko Cieleńwicz.

— Ale, wyznaj, że mieć obu. to tak jakby  
jój żaden nie miał... to ohydne...

— Otóżto dzikie i fałszywe wyobrażenia dzi-  
siejsze! — zakrzyknął doktor socjalizmu.

— Widać, żeś waćpan nieżonaty — śmiejąc  
się przerwał hrabia, ale bez jakiegś złości we-  
wnętrznój. Rotmistrz spuścił oczy, ssał cybuch.

— Kwestyą tę kobiet głęboko traktuje Fou-  
rier — rzekł w zapale Cieleńwicz, nalewając so-  
bie wina. — Ja także uprawiałem ją i studyowa-  
łem — dodał — rzecz jest stanowczo przezemnie  
rozstrzygniętą: bez swobody kobiety i wspól-  
ności kobiet, społeczność chorować musi; ró-

wnie jak własność wyłączna, związek wyłączny jest anormalnością. Wszelki cień wyłączności zniknąć powinien.

— Lecz ty sąsiedzie, co się tak nią brzydzisz, czemuż swoich włościan nie rozpuścisz, i nie poczniesz reformy od siebie? — zapytał Dendera.

— Nie głupim! — rzekł Cielęciewicz — ja oddam co mam, a mnie nikt nie: piękna zamiana! Jabyśmy chciał przeciwnie: wziąć od drugich, a swego nie dać nikomu.

Hrabia się śmiał, a socyalista upojony winem i sobą, prawił dalej coraz zuchwałej i śmieszniej; nareszcie przebrało mu się aforyzmów, usiadł, zakaszał się i przerwał sobie zimniej:

— A! a! przepraszam, najważniejszej rzeczy zapomniałem: wszak mam hrabiemu zwiastować...

— Mnie? co?

— Gościa! Marszałek Farurej wybiera się jutro do niego...

— Tak dawnośmy się nie widzieli — odparł hrabia zimno — że nie wiem, czy się poznamy.

— Dawno! Nic dziwnego, długo nie było go w kraju: powraca wprost z Paryża.

— Przecież powrócił!—wciąż obojętnie mówił Dendera.

— Wrócił zdrow jak ryba, świeży i odmłodzony.

— Jeszcze młody! Zdaje mi się, że starszy odemnie przecie!

— Ale jak wygląda! Świeży, runiany, rześki, zdrow, nadskakujący dla kobiet: *petit maitre* zawsze...

— Jak dawniej.

— Dobrze w Paryżu nadszastał fortunki? — spytał rotmistrz z przekąsem.

— On! gdzież znowu! Świeży spadek dał mu czystych dwa miliony i ogromne remanenta: bogatszy niż był. Mówią—dodał Cielęciewicz, rzucając znacząco okiem na hrabiego—że się myśli żenić nareszcie.

— Żenić!—zawołali oba.

— Ba! czemuż nie? Bogaty jak Krezus, świeży, zdrow, miły; chciałby wziąć z dobrego domu młodą panienkę, choćby nieposażną...



— O! stary satyr! rozpustnik!—z uśmiechem przerwał Dendera; ale wtém jakaś myśl go nawiedziła, zadumał się, zdawał rachować, aż Cielecewicz obudził go pytaniem:

— Będzie pan hrabia jutro w domu?

— Będzie! będzie! i czekam miłych gości z upragnieniem! — Twarz mu się wyjaśniła, już smół projekt w głowie.

— W istocie—mówił sam do siebie—gdyby się o Cesię starał, nie byłoby źle... W terażniejszych okolicznościach mógłbym mu nie dać posagu... może jój zapisać miliony, a sam pewnie pociągnie niedługo: zrujnowany fizycznie. Gdyby Cesia miała rozum, poprawilibyśmy się milionami tego starego kobieciarza;... a Cesia mu się podobać powinna: młodziuteńka, świeżuchna, prawie dziecko: to właśnie, za czém gonią ci starzy wyjadacze.

Cielecewicz, który zbyt długo jak na siebie, mówił o przedmiocie obojętnym, znowu począł się puszczać w furyeryzm i proroctwa przyszłego szczęścia rodu ludzkiego: pałał, zapalał się, płomienił, wstawał, gestykulował ogromnie, wywracał i tłukł kielichy, oblewał się winem,

i tryumfujące czoło coraz otrząsając z włosów, krzyczał już tak, że się lokaje zbiegali, sądząc, że kłótnie zobaczą.

— Przyjdzie—mówił—ten czas, gdy ludzka natura się zmieni, gdy wszyscy ludzie staną się łagodni jak baranki.

— Jak cieleśta—mruczał hrabia.

— Jednakowi wszyscy twarzą. wzrostem, ruchem, myślą. Co za widok! najslodsza harmonia z końca w koniec kuli ziemskiej panować będzie... Nikt nad nikogo nie będzie wyższym, bo gieniusz jest zawsze zdobywcą i przywłaszczycielem: gieniusz potrzeba w zarodku zniszczyć i okrzesać do normalnych proporcji; nikt nie będzie nad nikogo lepszym, bo wszyscy dojdą *nec plus ultra* dobroci; nikt od nikogo rozumniejszym; nikt piękniejszym nawet: doprowadzimy ludzkość do jej prototypu, uiszczając co poniżej i powyżej pozwalała sobie tworzyć natura!

— I świat umrze w ogromnym ziewnięciu—zawołał hrabia wstając od stołu. — A ty panie Cieleścewicz, jutro do Denderowa z panem Farrurejem! Nieprawdaż? póki co będzie zabawiać się; może i rotmistrz nie odmówi?

To mówiąc pożegnał ich, powtarzając zaprosiny. Ledwie był za drzwiami, reformator odezwał się, wskazując za nim:

— To spróchniała kłoda; ale hrabina, zdaje mi się, jest bez przesądów, ma wyższe o rzeczy pojęcie. Zdałaby się do falansteru! He? rotmistrzu! he? nieprawdaż?

Rotmistrz, jakby go zlał ukropem, wychylił duszkiem kielich szampana.

---

Znacie już trochę Cesię; typ to w swoim rodzaju wielu kobiet dzisiejszych: więcej głowy niż serca, więcej wyobraźni niż uczucia, wczesnie stara rachubą, wyżej ceniąca urojone dobro niż prawdziwe: Cesia miała przecież ckoć zimowe, choć spokojne, choć zawiedłe serduszek. Każdy ma go trochę, nawet ci, o których mówią, że im całkiem braknie. Zdawało jej się poczynając oczyma rozurowę z Wacławem, że to będzie tylko wprawa oczu, związek co się rozerwie gdy zechce, nieporuszający serca, nie mogący zamącić spokoju. I nie głęboko też uczucie się w nią wkradło: żegnając Wacława

marzyła o innych, zimna pierś nie zabiła żalem, nie rozdarła się cierpieniem. A jednak po odjeździe jego, gdy się znalazła samą, czy nudy, czy nałogu, czy trochy uczucia skutkiem, posmutniała nieco, i zdziwiła się swemu bolowi, tęsknocie, czczości, jaka ją otoczyła.

O! bo nigdy nie godzi się żartować i bawić tём uczuciem, mówiąc sobie: — To rozrywka tylko, ja kochać nie będę! — Któż wie, jak i kiedy pokocha, i czy przestanie gdy zacznie, i czy potём serce nie spęka się od bólu?

Gniewała się na siebie Cesia, że to miejsce przy fortepianie, że któraś ścieżka w ogrodzie, że ławka, na której widziała go z ganku, uparcie jój nieobecnego przypominały, że wspomnienie jak widmo natrętne, snuło się za nią dniem i nocą. Sama siebie pytała się, czy go tak kocha. i odpowiadała sobie: — Nie! nie! cóżby to było? szaleństwo! dzieciństwo! On i ja! Ja i on! — A jednak wzdychała i było jój jakoś tęskno, ciężko jakoś, jak gdyby część samój siebie straciła. I mówiła sobie niedoświadczona: — To przejdzie, to minie, ja się nudzę tylko, ja nadto przywykłam do niego!

Ale upływały tygodnie i miesiące, a tęsknota rosła, i co gorzej, Cesia już pytając siebie, znowu badając, niekiedy przypuszczała, że go odrobinę kochała; uznawała, że był zajmujący, przystojny, pełen niezucia, i że z nim jakoś weselej było w Denderowie.

Pomimo to, jak kobieta, gdy się zřęcznořć trafiła, oczyma i ustami wabiła ku sobie innych: i Walskiego, którego miała za nieżonatego (w istocie żona mu wkrótce potem umarła), i kto się nawinał z młodzieży. Niktby nie poznał co się działo w jej duszy, choć już i niejedna łza, z jej własnym zdumieniem, z oburzeniem i zgrozą, nocą spłynęła po twarzy... Gdy grała to, co on grał, tak pięknie, tak wymownie i wyraziście, często opadły ręce, zadumała się i zerwała potem szydząc z siebie, otrząsając trochę niezucia, którego się wstydziła. O! niepojęte serce niewiasty! Jestżeś ty jak serce aniołów, co musi kochać świat cały? czy dla tej miłości, przeczucia drugiej ojczyzny, kochając wszystkich, stale nie możesz ukochać nikogo? Lubi jestżeś jak serce szatana, który wybiera pastwę jaka mu się nawi-

nie i ściga ją aż pochwyci; a gdy porwał, odrzuca ze wzgardą? Serce niepojęte, serce niezrozumiane; z siwemi włosy staje przed tobą człowiek nie znając cię jeszcze, równie ślepy, równie jak w młodości nieświadomy twój głębi; i umiera a nie wie, czy choć raz był kochanym, czy miłość ta nie była tylko rozrywką i pokrywką, czy sto razy złotój jój nici nie rozcięło ostrze tajemnej zdrady i pragnienia... Tajemnico niezbadana, jakżebyś była wielkim przedmiotem badania, gdyby z krwią zimną wpatrywać się można w twe dzieje, mozaikę złota i czerni, promieni i ciemności... Trzeba ci zostać zagadką!

Cesia kochała jak większa część kobiet, którym żadna miłość nie przeszkadza przez tydzień kochać kogoś innego, dwa tygodnie o kimś marzyć i wrócić do pierwszego ulubieńca, po tych wycieczkach myśli, w których i serce udział miało.

Właśnie wsparta na rękę dumiała sobie o Walskim, o Wacławie i o trzech czy o czterech jeszcze jasno i ciemno-włosych młodzieńcach. W przesliczne ubranych kamizelki i zrecznie

motylkujących koło niej, gdy do jej pokoju weszła strojna i uśmiechająca się matka, wołając:

— Chodź Cesi do salonu, mamy gości.

— Gości! chwala Bogu! Ale kogóż?

— *Monsieur Chose! A! jakże się zowie? zapomniałam, un nom très ancien et fort distingué, mais singulier; on le dit de fort bonne souche. A! Farurej! Jakże ci się podoba!*

— Ten stary marszałek, o którym od wieków słyszę! który był za granicą?

— *Justement, il débarque fraîchement de Paris; nadzwyczaj ciekawa postać: bywał na salonach Ludwika-Filipa.*

— Przynajmniej to dystynkcyi nie dowodzi, bo tam i mydlarze i kupcy korzenni bywali.

— *Mais il a fréquente à Paris, ce qu'il y a de mieux; il à été reçu au faubourg St. Germain; no! chodźmy! Jeśli nie będzie miły, to nowy i zabawny niezawodnie; rozerwiesz się, trochę jesteś smutna. Ale popraw wprzód włosy.*

Cesia rzuciła okiem na siebie i trochę wykończywszy ubranie, które nie chciała mieć



zbytecznie wyszukaném i pretensjonalném, poszła za matką, rada rozrywce.

Pan Farurej już był w salonie z hrabią, z Sylwanem i Cieleńcem.

Dwaj ostatni zawsze spotkawszy się rozpoczynali walkę nieustanną między sobą; Cieleńcem był i wyznawał się komunistą i radykałistą, a Sylwan ograniczał się żądaniem lekkiej reformy społecznej, której zasad nie umiał ściśle oznaczyć. Dwie panie wchodząc zastały już walkę rozpoczętą jak zwykle. Cieleńcem stał wpośrodku salonu, i jakby był w klubie, perorował bardzo głośno:

— Ludzkości nie mogą uszczęśliwić jakieś tam pół-środki: nie! stokroć nie! Przez najostrejsze środki, jeśli tego będzie potrzeba przejdziemy bez wahania, bez wahania, i nową formą odrodzimy społeczność.

— Boże! na cóżeśmy trafiły — śmiejąc się zawołała hrabina do Cieleńca, który nagle spadłszy z wysokości swych deklamacyj, uśmiechał się i witał.

— Niech się pani nie lęka—rzekł mówca—to jeszcze nie zaraz nastąpi.

Wtém pan marszałek Farurej powstał na powitanie dam, z lekkością młodzieńczą, choć miał niestety oddawna lat pięćdziesiąt!

Ale czegoż nie dokaże sztuka! Z tyłu widziany: ruchami, ubiorem, trzpiotowatemi gestami, zupełnie był podobny do młodzieńca; obrócony twarzą, wyglądał nieco inaczej.

Lysy całkiem, przyznawał się tylko trochę do łysiny, a peruka jego zrobiona z największym kunsztem, kłamała mu resztę włosów; bez zębów, miał wstawione wyroby sławnego Rogers'a, nieuderzające wprawdzie pięknnością, któraby podrobienie zdradzała, ale wcale jeszcze okazałe; chudy, wszystkie suknie miał wywątowane nadzwyczaj misternie, z głęboką znajomością nie tylko ciała, ale i serca ludzkiego; nigdzie sztuki nie zdradzała przesada. Ubiór miał skromny i piękny, ale co na twarz poradzić! Ocet towarzystwa higienicznego, kosmetyki Indyi i Afryki, woda kszążęca, elixiry, pomady, niewiele ją upiększyć i odmłodzić potrafiły! Marszczki jakkolwiek powyciągane na tył, odzywały się wszędzie: nos nie miał kształtu żadnego, usta rozeszły się zbyt

wypracowanych bardzo rękawiczek: oczy nabrzimiały i zaczerwieniły się, zdając wyskakiwać z powiek...

Niesłychanie grzeczny, nadskakujący, posuwał się zaraz ku hrabinie i hrabiance; a wiedząc jak naszym kobięciom pochlebia, gdy kto domy ich, wróciwszy z Paryża chwali, nakręcił tak rozmowę, żeby mógł wyznać, iż pierwszy salon w Denderowie, smakiem, ubraniem, tem czems nieopisanem, co nadaje piętno właściwe, przypomina mu salony Paryża i *Faubourg Saint-Germain*. Hrabiana uczuła się niezmiernie polectaną i odparła, jak się czuje szczęśliwą z przybycia takiego sąsiada, gdy się zdawali skazani już na pożarcie parafianom, i jak dawni chrześcijanie w cyrku, rzuceni tym potworom na pastwę.

Marszałek nadzwyczaj się uniósł nad dowcipnem porównaniem, i tak szczęśliwie poczęta rozmowa, w której obie strony trafnie się głaskać umiały, poszła dalej żywo, a Farurej zreszczenie potrafił do niej wmieszać Cesię. Cesi to pochlebiło, bo się lękała zostać opuszczoną, jak mała dziewczynka, i zmuszoną samęj się nabijać dla okazania dowcipu i dojrzałości.

Pokazała więc śmiało całą błyskotliwość żywego umysłu i szczebiotliwą łatwość rozmowy. na jaką naprędce zdobyć się mogła.

Hrabia z żoną szepnęli coś do siebie, i Farurej niby przypadkiem zostawiony na chwilę z Cesią, prowadził z nią dalej rozpoczęte dowcipkowanie.

Czemuż wam go odmalować nie umiem, gdy zmożony podagrycznćm cierpieniem, z uśmiechem na ustach, grał tak doskonale zajęcie, żywć, wesołość wśród doskwierających mu męczarni; zwracał się, okręcał, wstawał, siadał: pracując na każdy ruch, ale na oko odbywając je lekko i łatwo. Chodziło mu bardzo o pokazanie, że jest w pełni sił i wieku. ♥

Cesia w duszy unierała ze śmiechu, ale ten Paryżanin przekwitły, tak dla niej grzeczny: tak nadskakujący, tak dobrego tonu, pomimo swćj śmiesznćci, bardzo jćj pochlebiał uwagą. jaką na nią zwracał ciągle; szydziła z niego: a była mu wdzięczną.

Hrabia umyślnie rozprawiał żywo z Cieleccwiczem, żeby nie zmuszać Farureja do odwrćcenia się ku sobie; hrabina trochę chmurna wzru-

szła ramionami nieznacznie, a Sylwan coś przyśpiewując pod nosem, chodził po salonie.

Wtém przybycie rotmistrza pomnożyło towarzystwo, a hrabina, która nie wiedziała, że był zaproszony, zdumiała się; i mimo potęgi, jaką miała nad sobą, trochę ust zagryzła, trochę się zarumieniła. Wnet jednak oprzytomniając się zawołała do niego z żartobliwym wyrzutem:

— To nie do darowania, żeby tak o nas zapomnieć!

Rotmistrz zupełnie zbił się z tonu, splątał i zabelkotał coś niezrozumiałego, ale go Sylwan porwał zaraz po przywitaniu, i potrzebując u niego pożyczyć pieniędzy, począł starannie miodem grzeczności smarować.

---

Nikomui w tej chwili potrzebniejszeni nie były pieniądze: osnawał bowiem projekt nielada. zemstę wielką, której, jak mu się zdawało, bez pieniędzy nie mógł przyprowadzić do skutku. a z niemi miał jój dokonać niezawodnie.

Zbity ze wszystkich dróg przez starego Kurdesza, postanowił sobie przekupić Brzozosię: dowiedzieć się od niej kiedy ojciec w domu nie był, rozpocząć cichutko bliższe stosunki, i... któż tam wie co rosił; to pewno, że marzenia jego nie kończyły się u ołtarza; wołał sobie powiedzieć:

— Wydam ją za kogo.

Bo téż Sylwan nie kochał wcale: chciał się tylko bawić i zemścić. Zdawało mu się, że naj-

pewniejszą drogą do Frani była naiwna Brzozosia; a do serca ubogiej i na łasce żyjącej rezydentki, pieniądze. Chodziło więc o to tylko, zkad wziąć pieniędzy i jak się do Brzozosi zbliżyć, gdzie ją znaleźć, jak z nią rozmówić, tak, aby to ludzkich nie zwróciło oczu.

Wcześniej radował się Sylwan, że ogólny plan kampanii tak szczęśliwie nakreślił, w wykonaniu jego rachując na pomoc losu, na trafy, na coś, co zwykle młodym a wytrwałym w pomoc i przymierze przychodzi.

Nie ze wszystkiem się też w tych nadziejach mylił, bo trafił dostarczył mu pierwszą zrzecznosc widzenia się z Brzozosią sam-na-sam. Myśląc o Frani, Sylwan często jeździł do gaju pod Wulkę, i po kilka razy dróżynę przezeń wiodącą przebywał czyhajac na swoję ofiarę. Raz mrokiem postrzegł toczącą się zdala postać, która jak się domyślił i nie mylił, była w istocie Brzozosią; przyspieszył kroku, dognał ją i naprzód przestraszył bardzo biedaczkę.

— Jezusie, Maryo! — krzyknęła Brzozosia, która powoli odnawiając pacierze, wracała z pasieki.

— Dobry wieczór pani!

To przywitanie i grzeczne *pani*, wyrzeczone z ukłonem, sprowadziło uśmiech na usta stariej panny; dygnęła mu o ile nierówność drogi pozwalala, i sznurując usta, wstrzymała się zawracając ku niemu.

— Dobry wieczór panu hrabiemu!

— Cóż tu pani tak sama jedna porabia?

— Wyszłam na przechadzkę.... (wstydyła się przyznać, że chodziła do pasieki).

— Jak się tam ma panna Franciszka?

— Zdrowa! zdrowa! — śmiejąc się dodała Brzozosia i kiwając głową — zdrowa dzięki Bogu; a jakto pan zaraz o niej pamiętał wprzód niżeli o rotinistrzu, i spytał o nią! Oj! coś ja wiem!

— Cóż takiego? — zaśmiał się Sylwan.

— Hrabia podobno poznał się na naszym skarbie.

— Jakto pani domyślna jesteś! — kończył młody hrabia na wpół szydersko.

Pochlebilo to Brzozosi, która żywo dodała:

— O! o! mnie nie oszukać! Z pierwszego razu powiem panu, widziałam to jasno. bo pra-



wdę mówiąc, do takich rzeczy nie ma jak mój wzrok.

Sylwan serdecznie się śmiał znowu i podchwycił:

— Kochana pani, cóż z tego wszystkiego. kiedy podobno rotmistrz złéin na mnie patrzy okiem.

— A! uchowaj Boże — odparła Brzozosia — i owszem, i owszem: z estymą, z szacunkiem. ale widzi hrabia, jemu się i nie śni, żeby co z tego było; a ja zaraz taki inówiłam i mówię, że to już widać przeznaczenie.

Sylwan się zastanowił, bo tak dalece zabrnąć sobie nie życzył.

— Byłbym pani bardzo wdzięczny — rzekł zbliżając się i szepcząc do ucha Brzozosi — żebyś téż pani chciała mi dopomódz... Pani to już wiesz, że bardzo, bardzo podobala mi się panna Franciszka, ale ojciec tak trudny; w domu tak się rzadko widywać możemy swobodnie.

— Z całego serca, z całego serca bym panu dopomogła — odparła dumna tém, że tak wielką brała na siebie rolę Brzozosia — ale jak?

— Już to pani wiedzieć będziesz lepiej.

— Ojciec straszny innpetyk i nieziniernie ją kocha: jak się uprze, jak się uprze, ani go przekonać. Ja mu to już ciągle powtarzam, że niewiedzieć co robi, że córce los zagraadza, ale stary swoje; jak kozioł proszę pana, choć pocziwy z kościami.

— Jednak możeby to jako można widywac się tak, żeby on o tém nie wiedział.

— Hm! hm! powiem panu! to potrzebaby nad tém pomyśleć... trudno doprawdy, a nie wiem czyby się i Frania na to zgodziła. Chociaż, powiem prawdę, ona na pana dosyć łaskawém okiem patrzy, bo mnie nie oszukać, ja to widzę.

— Tak pani sądzi?

— Tak! tak! Ale to posłuszne dziecko; gdybyś pan poprobował jeszcze starego ukołysać.

— Widzi pani, że to prawie niepodobna.

— Zczasem, powoli; zresztą niechno ja pomyśle coby się dało zrobić — szepnęła Brzozosia i zamyśliła się.

Sylwan porozumiał zaraz, że to namyślanie pewnie oznaczać musiało chęć wytargowania zapłaty, i już się zabierał wystąpić z przekony-

wającym argumentem, gdy Brzozosia widząc zmierzch nadchodzący, a pomiarkowawszy nagle, cobyto ludzie powiedzieli, żeby ją o mroku z kawalerem sam-na-sam w lesie zobaczyli, szybko pożegnała hrabiego i uszła biegiem prawie, taki ją strach o własną reputacyą ogarnął.

Sylwan popędził za nią spytać, kiedy ją będzie mógł spotkać. Odpowiedziała mu żywo:—pozajutro—i szybko pospieszyła ku domowi, przerażona niebezpieczeństwem, w jakie dobrą swą sławę podała niebacznie.

— Otóż ślicznie! — mówiła po drodze idąc, cała zdyszana i w płomieniach—ani mi do głowy przyszło co ludzie mogą powiedzieć! Całe życie, chwala Bogu uczciwe, mogłabym stracić w jednej chwili, przez nieuwagę i trzpiotowatość, która się jeszcze innie trzyma! Śliczna rzecz! Prawdziwie dziwuję się sobie, tak być nicostrożną! tak nicostrożną! Boć i dawniej, prawda, choć mi się podobał, choć nie bez tego, żeśmy się z sobą schadzali, ale to przyzwyczajenie, tak, że i najgorszy z ludzi nie na to nie mógł powiedzieć...

Noc szybko nadchodziła.

Przerażona niezmieennie dobiegła do domu Brzozosia, w rozmyślach co począć. Natarczywość Sylwana, jego propozycye, przyszłość Frani którą jej miała być winna: wszystko to chodziło po biednej rozmarzonej głowie, nie dając się rozwikłać i ułożyć. Nie mogła znaleźć środka, żeby wszystkich żądania i strachy. a przyszłość Frani pogodzić. Chciała dopomagać i nie miała odwagi, bo wiedziała jak rotnistrz tajemnie nie lubił, intrygą się brzydził, i chciał, by każdy uczynek miał świadkiem ludzi i słońce, by się z każdego jasno i głośno wytłumaczyć, nie rumieniąc, można. Iść przeciwko jego woli było niebezpiecznie. zresztą nie wiedziała dobrze, co o tém wszystkiém pomyśli Frania. i najpilniej jej było powrócićwszy, wejść do pokoiku wychowanki z tajemnicą, która już dokuczała jej jak wstrzymaną czkawka.

Siadła na kuferku naprzeciw Frani i odehrząknawszy poczęła:

— Jaki to był śliczny wieczór moja duszko?

Ale z oczu jej widać było, że nie o wieczorze mówić miała.

— Gdzieżto była Brzozosia?

— Chodziłam moje serce do pasieki, ale się nie roją... i wracając...

— Coś się trafić musiało, boście się przypóźnili?

— Wyobraź sobie: ale...

Przerwała, i spoglądając na Franję:

— Może ci lepiej nie mówić, ty zaraz przed ojcem wypaplasz.

— Cóżto? kochana Brzozosiu? co? ja nic nie powiem. Pewnie gnilec w pasiece!

— Ale gdzie tam, mnie gnilec w głowie. Nie powiesz ojcu?

— Jak nie zechcesz, nie powiem. Wydarli pszczoły?

— A jej pszczoły tylko na myśli! Otóż żebyś wiedziała, że się spotkała i mówiła; zgadnij z kim?

— Kiedy każesz mi zgadywać, to pewnie z hrabią?

— Jakbyś tam była; widzisz: otóż ci powiem, że mnie nie oszukać; jak Bóg Bogiem, tak się w tobie zakochał.

Frانيا trochę się zarumieniła, boć i najobojętniejszėj taka wieść nie obojętna, a pićrwszy raz posłyszćć to miło; i Frania miłość Sylwana wcale inną wyobrażała sobie, niżeli była w istocie.

— Doprawdy! on we mnie! To być nie może, Brzozosiu: hrabia taką jak ja szlachcianeczkę...

— Otóż widzisz, że kiedy ja co mówię, to tak jest koniecznic; żebyście mnie słuchać chcieli, ale to z upartemi rady nie ma. Ojciec twój wszystko psuje. Gdybyś chciała Franiu, gdyby ci serce mówiło... możnaby coś i bez ojca zrobić... Ot przyznaj mi się, kochasz go? no! powiedz!

Frانيا znowu jak jabłko się zarumieniła, zaczęła się śmiać, ukryła twarzyczkę, potem zamysliła się, potem szeptała coś porąc frezlę od chusteczki, tak, że nic posłyszćć nie było można; wreszcie gdy Brzozosia coraz żywićć nacierała, usiadłszy przy niej na stołeczku, tak mówićć zaczęła prawie do ucha:

— Cóż-bo ty ino ja Brzozosiu nazywasz kochaćć?

— A to doskonale! Udajesz Frania, czy co?

— Nie udaję wcale, ale posłuchaj Brzozosiu. Czytałam kilka książek co mi z Kudrostawu pożyczali: tam dziwnie jakoś opisują kochanie; a widzicie...

— Ale inów-bo serce wyrażnij, co książki mają do hrabiego?

— Posłuchajciego tylko uważnie!—szeptała Frania.—Lubię i tego, i tego, i tego; i ten mi się zdaje piękny, i tamten ładny, i ten zabawny i drugi: ale żeby mi miała kogo nad innych przynosić, i za nim więcej tęsknić i marzyć, to nie!

— Jakto może być!—łamiąc ręce zawołała prawie przestraszona Brzozosia.

— On mi nie dosyć bawi, lubię na niego popatrzeć, pośmiać się z nim; ale nie tęsknię, nie rozpadam się za nim. A kiedy się kto zakocha. to tak być musi... nie prawdaż?

— Ale czyżto być może!

— Czyżbym ja przed tobą kłamała? — odparła Frania.

Brzozosia mocno się zadumała, zażyła tabaki, utarła nos, odpędziła faworytę kotkę, i po kiwawszy głową, spytała:

— A któż ci się u licha podoba, jeśli nie on?

— Alboż ja mówię, że mi się nie podobał?

— Ale ja byłam pewną, że ty o nim tylko myślisz i dumasz?

— Nie, Brzozosiu! Powiem ci nawet szczerą prawdę: czasem, czasem... wydaje mi się aż śmieszny...

— On! on! — zakrzyknęła porywając się rezydentka.

— Śmiejecie się ze mnie kiedy chcecie, cóżem ja temu winna? Doprawdy, że pan Jan z Zawilówój daleko pokażniejszy od niego, i jak mówi jest czego posłuchać, bo w słowach gra dusza; a i ten mi przecież głowy nie zawróci...

— No! to już nie wiem kto ci się podoba — rzekła smutnie Brzozosia — widać, że to chyba nie przeznaczono. Ale kabała nie może skłamać... Bywa to czasem, że tak człowiek, do kogo długo serca nie ma, a potem raptem.

— Może, gdybyin go lepićj poznała.

— A tu ojciec i temu drogę zagradza!

— Ojciec wie co robi, Brzozosiu!

— Między nami mówiąc, stary gdéra i tchórz. Cobyto szkodziło pozwolić mu bywać?



— Ojciec wie, że z tego nic być nie może.

— Otóż w tém się myli, bo kawaler po uszy zasłapał: onby się i dziś ożenił.

— Ale ojciec...

— E! ojcowie zawsze potém błogosławią.

— Wolałabym nie potém, ale przedtém...

Brzozosia ruszyła ramionami i nic już więcej nie powiedziała; a Frania, choć była ciekawą co jej Sylwan mówił, nie dopytywała się, wiedząc, że się z tém później wygadać musi.

To pewna, że całą noc marzyła, dumiała, roiła sobie dziwy dziewczyna; Brzozosia marzyła także: a hrabia już się cieszył zwycięstwem, i zawczasu drwił sobie ze szlacheica.

---

— Cożbyś ty na to powiedziała—odezwał się tego samego dnia hrabia Zygmunt-August do córki — gdyby pan Farurej chciał się starać o ciebie, i to życzenie oświadczył?

Zdawało się ojcu, że wielką powieć Cesi nowinę, i zawczasu rachował na jój potężne zdumienie; ale jakże się zdziwił, gdy młoda pannotka, bez najmniejszego znieszenia, spokojnie i śmiało mu odpowiedziała:

— O! o témby potrzeba pomyśleć!

— Wprawdzie—dodał prędko hrabia zapobiegając zarzutom — nie jestto już pierwszój młodości człowiek.

— Ani drugićj nawet—odpowiedziała Cesia obojętnie—ale cóżto znaczy?

— Miły, dobrze wychowany, dobrze urodzony, wiele widział świata, i bogaty...

— Czy w istocie znowu tak bogaty jak mówią?—spytała Cesia.

— Najistotniój. Dowiadywałem się i wiem dokładnie; dawny majątek nadrujnowany, to prawda, ale jeszcze piękny, a ze świeżą sukcesyą uczyni przeszło trzy miliony fortuny czystej. nie licząc remanentów prawdziwie pańskich... Same sławne srebra jego liczą na parę kroć sto tysięcy...

Cesia się zamysliła: wolałaby zapewne z ową milionową fortuną innego męża; ale i Farurej miał swoją dobrą stronę. Stary, musiał przecie czémś zapłacić za swoją starość, musiałby zrobić zapisy, dogadzać upodobaniom, nadszka kiwać, a w ostatku prędzej mógł od siebie uwolnić niż kto inny. Hrabia też wcześniej to sobie ułożył, i z bogacając Cesię, przewidywał, że wkrótce będzie wolna a bogata, że wyjść może później za mąż za jakie gołe książątko; a nimby to doszło do skutku, ojciec naturalnie zarządzałby majątkiem... Nieszczęściem te rachuby opierały się głównie na latach i zdrowiu

Farureja; a nie zawodniejszego nad życie ludzkie: ci najczęściej giną sami, co ze śmierci cudzej korzystać się przygotowują. Śmierć, filutka, płata figle najniespodziewańsze, jakby ją to bawiło...

Sylwan był też bardzo za tém małżeństwem, była za nim potajemnie i matka, choć dla utrzymania swego urzędowego charakteru sprzeciwiała się zlekka, dowodząc, że z dziecka dla widoków pieniężnych ofiary czynić się nie godzi.

Cesia tymczasem, jakby pierwszy starający się o nią jawnie, był dla niej oznaką emancypacji, patentem dojrzałości: spoważniała wielce, nabrała pewnego tonu, i głęboko zdawała się namyślać. Troszkę kochała Wacława: ale to w jej przekonaniu nie przeszkadzało zamążpójściu za starca; między miłością i poświęceniem się dla niej, a życiem swobody i dostatku, wybór był łatwy, przy takim jak jej wychowaniu i przykładach; nie wahała się też wcale. Lecz mając iść za starego, chciała, by był bardzo stary, i troskliwie wypytywała, czy istotnie ma tyle lat, ile mu przypisywano. i tyle majątku?

Ojciec, który się spodziewał oporu i gotował do walki, zdumiał się, widząc ją przygotowaną zupełnie i wyprzedzającą niejako jego żądania.

— Ma rozum — rzekł w duchu — nad lata! nad lata! nie byłaby dzieckiem mojem! Coto za wytrawność i kalkulacya *zdrowa!* a nie ma jeszcze lat dwudziestu!!! a wychowane to na wsi!! Ho! ho! trząść będzie światem, byle nań wyjrzała!...

Za drugą bytnością w Denderowie, widoczném już było, że Farurej od wszystkich nadzwyczaj dobrze przyjmowany; od panny najlepiej jak być może: uwięźnie na lep i da się usidlić. Starzec sądząc, że to zwycięstwo winien był sobie tylko, wybornemu tonowi, dowcipowi, udawanej swój młodości i pokostowi paryzkiemu, którym był okryty: uszczęśliwiony do szału, padał przed Cesią z takimi oznakami najszałeńszej miłości, że przytomni jej wybuchom, ledwie się od śmiechu powstrzymać mogli. Cesia dowcipowała z nim, ochoczo dotrzymując mu placu; zachwyciała go przytomnością umysłu, wesołością i tonem, jakich w tak młodej panienczce ani się mógł spo-

dziewać. Nie chciał w tém wszystkién widzieć grudniowy zalotnik jawnego przecie zepsucia i chłodu.

Za trzecią czy czwartą bytnością, Farurej zupełnie oszalał, obaławaniał, i gotów już był siebie i wszystko co miał oddać téj czarodziejce. Hrabia patrzył jakby nie widział; hrabina pomagała nieznacznie, stękając na ofiarę; Sylwan, w nadziei łatwój pożyczki pieniędzy od przyszłego szwagra, pochlebiał mu, przybrał za przyjaciela, za powiernika, i zřęcznie jak równego traktował.

Nic bardziej starcowi pochlebiać nie mogło. Skutkiem całej téj komedyi, Farurej wyobraził sobie, że istotnie odnułodzić musiał, że wiek jego dla wszystkich był tajemnicą, a niebytność długa rachuby kalendarzowe pomieszała. Płochy jak dwudziesto-letni młodzieniec, gotował się do ofiar największych, byleby na swoim postawił, byle ubóstwionéj Cesi rękę otrzymał.

Cesia wpół śmiejąc się, wpół płacząc patrzyła na przyszłość: wśród jéj obrazu Wacław migał przed nią smutny, milczący i cichy, ale

stały. Nie mogła obejść się bez niego, odpędzała natręta napróżno, w końcu mówiła sobie: —Będzie z nani, przy nas, ze mną! Lecz byćże on zechce, gdy zostaniesz żoną tego starca, sprzedając mu się tak ohydnie?—pytał głos wewnętrzny. — Musi! — odpowiadała — ja każę i przyjdzie!

Po podbiciu Farureja, o niczem już nie wątpiła, chociaż to było łatwe zwycięstwo; ale pierwsze taką dają odwagę, w taką wbijają pychę! A to był pierwszy tryumf, na który ludzie patrzyli.

Jakkolwiek śmieszny swą pretensją do młodości Farurej, z innych względów był postacią wielce niepospolitą dla nas: bo u nas wszystko, co się choć potarło o obce, co trąci zagranicą, co przybywa przesiąknięte cudzoziemczyzną po długim dobrowolnem wydaleniu, wyższemu się i doskonalszemu wydaje.

Żartowano z niego trochę, ale go naśladowano: jego powozy, konie, zaprzęgi, ubiory, urządzenie domu, służyło za wzór dla drugich, a zwłaszcza dla młodzieży. Farurej, dobry koleżka, otaczał się nią chętnie, sprawiał baliki,

prawił cynizmy, i grał rolę młodzika, pomimo podagry i reumatyzmów bez liku, z natchnieniem i żywością niepospolitą.

• W sąsiedztwie, choć zazdrość kazała szydzić z niego, wszyscy sarkali, że tak *piękna* partya dostanie się dumnej, ziunnej, szyderskiej, nieznośnej hrabiance. Tyle panienek jeszcze młodszych gotowe były poświęcić się i uszczęśliwić starego rozpustnika. Niestety! dziś nawet u młodziutkich panienek, któreby dawniej za skarby świata nie zaślubiły starca, jedyna modlitwa, jedyne życzenie, znaleźć bogatego a schorzałego paralityka, i sprzedać się, byle drogo. Serca nie ma! Są głowy i rachuby, poczynające się w latach piętnastu, gdy samo serce bićby tylko powinno!!

Cesia tedy codziennie widocznie zwyciężała. Cieszyli się pocichu rodzice, a Sylwan na rachunek tego co tydzień pożyczał u Farureja. skarżąc mu się na skąpstwo ojca i potrzeby młodości.

Tymczasem Zygmunt-August Dendera wikał się coraz głębiej w interesa, usiłując wykłamać byt swobodny i bogactwo, które ucie-



kło. Szło mu w istocie najgorzej, ale nikt o to nie mógł go posądzić; opłacano z rzetelnością niewidzianą procenta i zażądane kapitaliki. dawano szumnie bale, dom na świetniejszą niż kiedy podniesiono stopę. Imieniny, Nowy rok, zapusty, obchodzone zwykle szumnie, teraz zapraszając dokoła, z muzyką wytworną. ze szczególnymi wymysłami zabierano się solennizować. Kredytorowie zdumieni, osłupieli: nie pojmowali co się to dzieje; ale gdy klucz Słomnicki skonfiskowano, a to nie ustawało; gdy hrabia równie wesołą twarz zawsze ukazywał, prawił o spekulacyach, płacił nie wyprasząc się; i nie tylko nie począł się oszczędzać, ale wspaniałej jeszcze występował, powiedziano sobie: że musi mieć kapitały, że ma tajemnie summy na bankach. Ci nawet, co go najlepiej znali, jak Smoliński, zdumieni zuchwałością, nie dowierzali oczom, i zawahali się w przekonaniu o grożącym bankructwie.

---

Sylwan cały zajęty swoją przyszłą zdobyczą, pośpieszył do Wulki, i stawiał się w terminie.

na rozinowę z Brzozosią, wcześniej przygotowany do datku, który sądził nieuchronnie potrzebnym dla pozyskania jój względów. Ale ostatnia rozinowa z Franią wielce zachwiała przekonaniem Brzozosi, i dała jój do myślenia: przypuszczać poczęła, że wychowanica jój nie kochała hrabiego, a namawiać nie umiała. Cała nadzieja jój była w tém, że Frania się rozkocha; a hrabstwo i bogactwo przy młodości i ładnej twarzy, muszą ją chwycić za serce.

Idąc do lasu, Brzozosia postanowiła sobie wybadać pilnie młodego hrabiego o dalsze jego zamiary: czyby się nie chciał zaraz ożenić; nie pojmowała bowiem w prostocie niepokalanéj ducha innej intrygi, tylko przyspieszającą co najrychlej wiekuiste połączenie. I gdy Sylwan spieszył z myślą nakłonienia jój, aby mu pomogła do zawiązania tajemnych z Franią stosunków; ona poprostu i po staroświecku chciała go ożenić, choćby mimo woli ojca, byle tylko co najprędzej. Kabala dawała jój ufność, że zwycięży, i że Frania będzie szczęśliwą.

Zeszli się prawie w tém samym miejscu, co wprzód; a Brzozosia, cała drżąca, żeby jój kto

nie zobaczył, zwłaszcza rotmistrz, którego się obawiała jak ognia, postanowiła z góry stanowczo zapytać hrabiego, kiedy wesce?

Byle Frania za niego poszła, mówiła sobie, to się kochać muszą, i będą szczęśliwi...

— Cóż tedy? — zapytał żywo Sylwan, wyglądając jak najpomysłniejszej odpowiedzi.

— A cóż, panie hrabio! — odparła Brzozosia, oglądając się — mówiłam z Franią: ale to gołąbki zwyczajnie, ani wiec samo, co się w jej serduszkach dzieje; a ja widzę, że hrabiego kocha i kochać musi.

— Ale jakże się przybliżyć, poznać lepij?

— No! a hrabiaż ją kocha? — spytała Brzozosia.

— Jak! pani nie uwierzysz!! — zawołał z zapalem.

— No! to chwała Bogu! Już na siebie biorę księdza i ułatwienie ucieczki: pojedziemy nocną do kościoła, proboszcz ślub da, a rodzice muszą przebaczyć.

Sylwan stanął osłupiały i zastygł.

— Jakto? — rzekł powolnie, cofając się — ależ my jeszcze... niedosyć się znamy!

— Jakte niedosyc, kiedy hrabia ją kochasz?  
— spytała Brzozosia.

— Trzebaby się nam częściej i swobodniej widywać.

— Na co? — przerwała stara panna — co tu darmo czas tracie? Ot, brać zaraz ślub i po wszystkiém; będziecie się potem sobie widywali po całych dniach, ile zechcecie.

Hrabia oziębł bardzo, zmieszał się, nie wiedział co mówić: czuł, że się złapał; chciał mówę zastąpić czynem wyrazistym, i podsunął zręcznie rulonik złota w rękę panny ciwnówniej.

Trudno opisać co się stało z Brzozosią na widok tego zwitka, którego w początku zrozumieć nie mogła; a domyśliwszy się znaczenia po wadze, z krzykiem jak gadzinę upuściła, odskakując na kilka kroków. Załamała ręce, oczy jej zapaliły się gniewem, i jakby światło jakie nagle ją oblało, cofnęła się ze zgrozą od skonfundowanego młokosa, który zapóźno pomiarkował, że głupstwo zrobił.

— A to tak mości hrabio! — zawołała trzęsąc się cała — to ty myślisz, że ja ci moje dziecko

sprzedam? Chciałoby się kupić moję pocziwość za złotko! Coto waćpan myślisz sobie, żem la-da sługa, żem jaka przedajna!...

Gniw aż jój mowę zatainował; hrabia poczynął się tłunaczyć, bakał, czerwienił się, ale stara panna raz puściwszy wodze językowi, silnie obrażona, upamiętać się nie mogła.

— Waćpan myślisz — wołała — żeśmyto ho-łysze, których można kupić i okpić jak się po-doba, dlatego żeś ty hrabia!! Chcesz się żenić. to ci pomogę, ale nie za pieniądze; a jeśli myślisz tylko zwodzić, to ci się z nami nie uda, ja pierwsza ci oczy wydrapię... Choć w cyco-wym szlafrocuku chodzę, ale twoich pieniędzy nie potrzebuję...

Widząc że nie żarty, podniosłszy rzucony rulonik, hrabia zaciął usta z gniewem i odstąpił wściekły, dosiadając konia co żywo; ale nim się potrafił oddalić, posłyszał tyle, ile w życiu jeszcze nie zdarzyło mu się od nikogo, i ze zmy-tą głową poleciał do domu.

Brzozowska zdyszana, zgniewana, trzęsąc się jeszcze cała od niepohamowanego wybuchu, po-wróciła do Wulki. i trafiła na Kurdesza w gan-

ku, odmawiającego właśnie pacierze na księżecze. Postrzegłszy ją, stary poznał, że się jej coś trafić musiało, i śmiejąc się zapytał:

— A co tam? czy nie lisy złapały czubatą kurkę? może wilk zdusił jagnię panny ciwunównej? Coś się musiało stać okropnego, boś widocznie poalterowana moja Brzozosiu!

Nie zebrała się jeszcze co odpowiedzieć rezydentka, gdy Kurdesz dodał:

— Ale bo widzę wracacie z gaju?

— A z gaju, z przechadzki — odpowiedziała.

— Czy ci się co, uchowaj Boże! trafiło?

— Nic! nic! — zimno, przychodząc do siebie i pragnąc się co najrychlej ukryć w kątku, odpowiedziała Brzozosia.

— Jakto nic? ależ widzę, że panna albo postraszona, albo rozgniewana.

— Niewarto o tém i mówić — mruknęła uchodząc.

Frania nie potrafiła nic z niej dobyć, prócz kilku słów pogardy dla hrabiego.

Sylwan po téj wycieczce upokorzony do ostatka, postanowił i zaprzysiągł sobie rzucić zupełnie niewczesne staranie o Franię. Bolał

srodze ze wstydu, ale rozumnie ukrył swoje strapienie wewnątrz siebie i milczał.

---

Tymczasem Wacław z panią podsędkową przybył do Kudrostawu, gdzie zaraz pilno im było wszystkim pochwalić się nowém nabyciem. Zgodzono go bardzo się targując za lichą pensyjkę; zawarowano, żeby uczył chłopców, żeby fortepianu nie psuł swojém klepaniem i nie grał na nim, tylko gdy go przy gościach prosić będą, a dla siebie raz na tydzień w niedzielę (co go najwięcej kosztowało); kazano mu stać w niewygodnej i wilgotnej izdebce, ledwie, że nie odinówiono pierwszych potrzeb życia: tak zdawało się Dębickim ciężką rzeczą to przyjęcie jego do synów, ale razem chciano się niém chlubić i popisywać jak najwięcej. Poszły więc wieści o metrze po sąsiedztwie, których trąbą był Cieleńcewicz, głoszący, iż Dębiccy przyjęli nauczyciela muzyki do dzieci, dawnego wychowanka hrabiów i metra hrabianki, że mu ogromną płać pensyą, i t. d. i t. d.

Pierwszy, który te wiadomości przywiózł do Denderowa, był rotinistrz Powąła: rzucił ją wśród gwaru towarzystwa ze śmiechem, i wprost doszła do uszu Cesi. Nie zarumieniła się wcale. nie zdziwiło jęj, uderzyło jęj tylko serce tajemnie, i powiedziała sobie: — Wrócił, bo się do mnie chciał przybliżyć.

Ale cóż mi tam — dodała — jakiś biedny nauczyciel: choć podobno oszalał za mną! Niepodobna, żeby się tu kiedy nie zjawił; przyjmę go zimno i ostro! To zuchwalstwo.

Hrabia dowiedziawszy się o tém, brew inarszczył, i zdawał się widocznie czegoś niespokojny i kwaśny.

— Miał jechać do stolicy — rzekł — lub zamieszkać w Żytkowie, w Kamieńcu; po cóż tu znowu powraca, to nie ma sensu! Muszę go zobaczyć i dobrze mu zmyć głowę.

Wtém ktoś począł się rozwodzić szczerze nad dobrodziejstwami wyświadczonemi przez hrabiego dla Wacława, a stary Dendera odwrócił się chmurny, i jakby przez uczucie skromności przerwał:

— Nie mówmy o tém, nie warto!



Widocznie był przecież zmieszany i nie rad wiadomości.

Wacław w Kudrostawie nie łącno oswajał się z obcym domem i ze służebnictwem swoim. Dom téżto był oryginalny, jakich i u nas niewiele, choć nam na oryginałach nie zbywa. Państwo podsędkowstwo Dębiccy, świeżo z bogaceni, cheiwi wnijsčia w grono obywatelstwa, łączyli skąpstwo dawne z wystawą, którćj, wedle ich wyobrażeń, nowy stan wymagał. Przepych ten szlachecki, niesmaczny i śmieszny, zamiast podnosić, poniżał ich jeszcze i wystawiał na szyderstwo, którego się dopatrzyć nie umieli; bo wszystkie urągowiska brali za pochwały. nie dopuszczając myśli, by z nich szydzić się kto ważył.

Gorzkito chleb cudzy, gorzkito dach obcych. choćbyśmy nie z łaski jedli, nie z łaski mieli schronienie; choćby za nie płaciła i nadpłacała praca; zawszeto ciężkie życie najemnika! Tym, którzy nas przypuszczają do swego stołu, do swojego domu, zdaje się często, że żaden wysiłek i poświęcenie nie potrafi opłacić ich wielkiego wyświadczonego nam dobrodziejstwa;

a nam widzi się zawsze, że praca nasza więcej jest warta nad płacę. Ciężko jest być sługą, cóż dopiero stanąć na tém stanowisku wątpliwém, co dzieli sługę od ubogiego przyjaciela? Mając do czynienia z ludźmi bez serca, nieustanna toczy się walka; i oni chcą, byś był ich sługą, ty chcesz pozostać niepodległym. Właśnie w takiem położeniu był Wacław u Dębickich, którzy z niego wszystko mieć chcieli, pewni będąc, że za ich trochę pieniędzy, powinni byli całego kupić sobie człowieka, że za nie sprzedał im się bez wyjątku! Każdą jego wolną chwilę uważali za skradzioną sobie, i jak skąpiec, co zapłaciwszy śniadanie w garkuchni, zjada do ostatniej chrząstki, choćby się miał rozchorować; tak oni wszędzie, do wszystkiego, ciągle posługiwali się radzi Wacławem. Oprócz lekcyi muzyki, musiał być nieustannie na ich rozkazy: sam pan posyłał go do miasta powiatowego po obiedzie, gniewając się, jeśli na lekcyę ranną nie powrócił; proszono go o robienie rachunków, o dozór nad ludźmi, o posługi najmudniejsze i najprzykrejsze, nie mając wzglę-

du na to, że go niemi męczono. Powinien się być czuć szczęśliwym, że im służył.

Pani Dębicka gdy mu dać raczyła drugą filiżankę herbaty, mniemała, że się obficie wywiązuje ze wszelkich względem niego obowiązków grzeczności. Biedno i ciężkie było życie! Nieustannie na pokaz wyprowadzany, zmuszany do popisów, poniewierany i jak piłka rzucony Wacław, ledwie skosztowawszy swobody wiejskiej, rad się był z niej wydobyć co najrychlej.

Przywykły do pracy nad sobą, do dumań swobodnych, wreszcie niewolnik i wprzód, ale ludzi lepiej umiejących pokryć swą władzę i w pewne formy odziewających absolutność; Wacław cierpiał boleśniej niż od najprzykrzejszego niedostatku.

Jedyną jego pociechą było wyrwać się na wolność: pochodzić, przedumać godzinę, marzyć o swój sztuce i wielkich jej tajemnicach; a kilka książek, niemych przyjaciół, nad których lepszych nie mamy (choć i ci jak często zdradają!), orzeźwiały go w zubożeniu upadłego na duchu.

Dom Dębickich był osobliwszego rodzaju. Pan i pani ekonomowali jeszcze na swójem, udając panów w potrzebie, a ndając ich bardzo pocieszenie. Oboje napozór nie wdawali się w gospodarstwo, czasem nawet odegrywali obojętność na nie, ale ukradkiem szpiegowali obroty oficyalistów, męczenników ich nieufności, i znając rzemiosło doskonale, wszędzie szukali podstępni, nawet gdzie go nie było.

Sam pan podśudek wysoki, silny pachół, z wąsem i bokobrodami rudawemi, udawał, że nadzwyczaj lubi gazety i towarzystwo; krzyczał bardzo głośno i bredził śmiało; pobrzękiwał pieniądźmi, o których obfito ci częste były wzmianki; sadył się na zbytki powierzchowne a żył z najobrzydliwszym skąpstwem. Mieli kocz, karetę, cugi, liberye, i gony, i blachy złociste, ale ludzie u nich jedli bez soli, chodzili w domu bosaka lub w łapciach, a wieśniak pędzany, robił prawie od niedzieli do niedzieli i nazywał się chamem.

Wzniósłszy się nad swój stan pierwotny, Dębiccy nmiemali się już tak wysoko, że wszystko co od nich niżj stało w hierarchii socyalnej.

uważali za niegodne wejrzenia, za tak lichie, za tak nikczemne, iż to się ledwie człowiekiem godne było uważać. Można sobie wyobrazić jak uważali Wacława, zmuszonego służyć im dla kawałka kleba.

Z wyższemi, choć parli się na stopę równości, oboje państwo przechodzili nieustannie z dumy i zarozumienia do minowolnych upokorzeń. Trafiła się naprzykład, że Dębicki wstawał na wnijście każdego i ustępował miejsca lada tytulikowi; ale bywało także, iż aż do niegrzeczności posuwał dbałość o utrzymanie się na mniemaném stanowisku, z którego prerogatywami nie był jeszcze oswojony. Nie każdy panem być może kto chce.

Dom odpowiadał ich charakterowi i sposobowi życia: był to niezgrabne naśladowanie tego, co widziano gdzieindziej, bez zastosowania do miejsca i potrzeby, a nadewszystko bez smaku. Dziedziniec niby angielski pstrzyły dookoła budowle malowane i herbowne, sztachety wykwiłtne różnych rodzajów, jedne od drugich niezgrabniejsze i ozdoby pocieszenie naiwne. Ogród spacerowy kompozycyi samego pana.

ubierały altanki i ławki w osobliwszym guście. Salon z meblami Testorego i Bajera w każdym kącie inną miał fizyognomią; nie potrzebujemy mówić, że wszystko chodziło w kapkach i starannie oszczędzane, od gości się tylko demaskowało. Świecidełek i błyskotek nie żałowano, a przy każdej zręczności cena lada fraszki obić się musiała o uszy tych, których najmniej obchodziła; domowi powtarzaniem nauczonych, wiedzieli najdokładniej ile nawet tafelka w posadzce zapłacona była.

W takimto domu na pierwszą próbę skazanym był Wacław, nie znalazłszy w nim żywej duszy, coby się z nim biędą tą podzielić chciała, coby uczuła jego cierpienie; owszem wszyscy jeszcze zdawali mu się wynawiać jego szczęście.

Wacław przywykły do znoszenia, spokojnie, z uśmiechem spełniał obowiązek, i wypijał do dna gorzkie tego kielicha służebnictwa. Po dwóch blisko miesiącach pobytu w Kudrostawie, na prośbę jego chętnie mu dozwolono pojechać do Denderowa, a była to zręczność pochwalenia się i konni i powozem; dano mu

cug gniady i kocz paradny, po tysiackroć go przestrzegając, żeby nie powalał sukna i koni pędzić nie kazał, żeby się ludzie nie poupijali, żeby się co, uchowaj Boże! powozowi lub rumakom nie stało.

Nie bez jakiegoś uczucia przestachu wyjechał Wacław do domu, w którym dzieciństwo i młodość przepędził; a obraz Cesi przelatywał przed łzawemi jego oczyma. Gdy ujrzał ogród, mury pałacu i miejsca uświęcone długim cierpieniem, marzeniem, latami nadziei i bóleści, w których się jeszcze pieścił przyszłością: biedny sierota zapłakał potajemnie.

Hrabia przyjął go kwaśno i na wstępie zapytał:

— Cóżto? słysz: powróciłeś z Żytkowa i zakopałeś się na... Do czego to prowadzi?

Wacław opowiedział mu całą historią pobytu swego w mieście, i zwątpienie o przyszłości.

— Chcesz, żeby ci los przyniósł pieczone do ust gołąbki — ruszając ramionami odparł Dendera. — Tak się nigdy nie dzieje, trzeba walczyć, pracować i nieraz biędy przycierpieć. Najłatwiej sprzedać się za nędzny kawałek chleba;



ale powtarzam, to prowadzi do ożenienia z garderobianą i zostania organistą.

Wacław zamilkł, czując się poniekąd winnym.

— Cóż waćpan myślisz? — spytał hrabia — długoż tu będziesz?

— Przynajmniej do roku.

Dendera pokiwał głową z wyraźném nieukontentowaniem.

— Ha! rób sobie co chcesz! — odparł — ale cię przestrzegam, że jesteś na zupełnie fałszywej drodze: tracisz młodość i zginiesz marnie.

— Ażeby posunąć się dalej — pocichu rzekł Wacław — potrzeba środków, pomocy, pieniędzy...

— Tych ci nie dam — cynicznie odpowiedział Dendera — miałbyś na sumieniu dłuższą twojemu opuszczeniu się dopomaganie, dosyć czyniłem dotąd; potrzeba samemu o sobie myśleć, a nade wszystko nie tu na wsi szukać sobie losu!

Wacław chciał odpowiedzieć, ale dano znać o przybyciu Farureja, i hrabia zabrał go z sobą do salonu, chcąc, by się pokazał żonie i gościom. Trochę był chlubny ze swego wychowania, i czasem go tak wyprowadzać lubił, by wywo-



łać pytania i naponuknąć, co uczynił dla opuszczonej sieroty.

Wszedłszy zastali już hrabinę, Cesię, przy której, ze swą młodocianą miną a starą twarzą, pobielaną tylko na nowo, siedział Farurej, prawiąc jój francuzkie grzeczności i wyuczone dwuznaczniki. Cesia zmieniona do niepoznania, pewna siebie, śmiała, mówiąca, wystrojona, opierała się od niechcenia na kanapie, wpatrując w bukiet, który jój ofiarował, bukiet kamelii i orchideów przepyszny, nie wiem z kąd sprowadzony, ale zachwycających barw i woni. Wspaniała paulownia zajmowała środek tej ogromnej wiązki kwiatów, uderzając niewidzianymi kształty i rzadkością.

Gdy wszedł Wacław, Cesia zmierzyła go spojrzeniem, i postrzegłszy zbiedzonym, bladym, smutnym, nieśmiałym, ledwie się nie zawstydziła przed sobą, że jój zcicha uderzyło serce, że go poznała jeszcze. Kiwnęła mu główką z góry, ale tak pogardliwie, jakby rzucała jałmużnę ubogiemu, który ją ranami i kalectwem odstręczał. Hrabina, niełubiąca wychowania, ledwie że go postrzedz raczyła; a Syl-

wan nie kryjąc z jakim go lekceważeniem traktował, zapytał głośno:

— Cóż, słyszałem, że jesteś u Dębickich?

— Jestem w istocie—zinino odparł Wacław.

— Cha! cha! — rozśmiał się stary hrabia — do czego to dziś przyszło: państwo Dębiccy uczą dzieci muzyki!

Wszyscy się rozśmieli za gospodarzem, a biedny sierota zakłopotany, znalazłszy gdzieś w kątku miejsce, przysiadł się z bolem w sercu, schodząc z oczu. Takiego przyjęcia (choć mógł je przewidzieć), nie spodziewał się przecie, i wyglądał współczucia: miał nadzieję spojrzenia Cesi, jeśli nie mówiącego więcej, to litosnego przynajmniej. Ona przeciwnie, zdawała się wysilać na okazanie, jak daleko stali od siebie, jak obojętnym był dla niej, jak dziś wysoko myśla i nadzieją wzleciała.

Kilka godzin do wieczora przeszły wśród ogólnej rozinowy, do której Wacław nie był przypuszczony; miał już odjeżdżać, gdy Farurej wreszcie ruszył się także, i trzpiotowato poęgnawszy towarzystwo, podskakując na cienkich nóżkach, zbiegł ze wschodów z Sylwanem; Wa-

wał miał także kapelusz w ręku, gdy Cesia, tyłem stojąc do niego, odezwała się:

— Proszę poczekać! Chcę, żebyś mi pan zagrał!

Zawsze jeszcze posłuszny Wacław, rzucił kapelusz i zastanowił się.

— Siadaj pan i graj mi co chcesz!—kończyła Cesia, wpatrując się w swój bukiet i wyciągając niedbale na kanapie. — Cóżes pan przez ten czas porabiał?

— Co zawsze, co tutaj.

— I zawsze, jak widzę, smutny, ponury, bohater romansu...

— Doprawdy, nie mam się czém cieszyć; zresztą Pan Bóg mnie takim stworzył...

— A jużciż, przepraszam!—podchwyciła Cesia—choćby z miejsca u państwa Dębickich cieszyć się pan winieneś. A powiedzże mi, proszę—dodała śmiejąc się do rozpuku, ale śmiechem przymuszonym—jakże tam ci ludzie żyją?

— Jak ludzie.

— Prawda, że to są z bogaceni ekonomowie?

— Nie wiem ich przeszłości.

— A żałujesz ich pan i chcesz bronić?

— Nie, ale nic nie wiem.

— No, to graj pan, kiedy mówić zapomniałeś. Zobaczymy, możeś i grać zapomniał także.

I rozkazawszy grać, Cesia przerwała zaraz pytaniem :

— Znasz pan tego gościa co wyjechał?

— Pierwszy raz go widzę.

— Któs bardzo miły! To mój narzeczonny! — szepnęła ze śmiechem.

Wacław pobladł, schylił się nad fortepian.

— Pani sobie żartuje — rzekł z cicha.

— Nie! nie! doprawdy! i wczoraj mi się oświadczył; znajduję go bardzo dobrze. Nieprawda, że ma minę i świeżą, i młodą. i dystyngwowaną?

— Chce ją mieć, to prawda!

— O! i ma! Zresztą, to do pana nie należy. Graj pan!

Wacław grał znowu; Cesia mu przerwała:

— Więc zapraszam pana na moje wesele.

— Wątpię, żebym się pani przydał na co...

— Znajdę dla pana zajęcie — odparła — będziemy mieli tyle gości.

Wacław już sam grać począł; ale ona tupiąc nóżką, nie dała mu ciągnąć dalej, i krzyknęła:

— Dajże pan pokój temu graniu! niezdolnie kłapiesz po fortepianie. Mów mi co o Dębickich, żebym się pośmiać mogła.

— Daruj pani, ale dla innej to wszystko tak smutne!

— Pan-bo koniecznie chcesz grać rolę niešťęśliwej ofiary! — zawołała śmiejąc się i topiąc w nim wejrzenie zimne, a kolące bolesnie.

Wacław porwał się oburzony, cierpiący; głowa mu pękała i serce się darło. Pochwycił za kapelusz.

— Czego się pan spieszysz?

— Kazano mi rychło powracać; jam się opóźnił.

— A więc powracaj pan sobie, kiedy mu tak pilno! Ale—dodała—pamiętaj, że masz przyjechać na moje wesele.

I rzuciwszy mu jeszcze to słówko, jakby go chciała zranić najboleśniej, pożegnała skinieniem głowy smutnym, wejrzeniem wymownym, by niezupełnie odszedł zrażony, żeby cierpiał, a powrócił.

— Wszak do zobaczenia, nieprawdaż? do zobaczenia?

— Nie wiem—rzekł Wacław.

— Ja chcę, ja każę, jak dawniej...—szepnęła cicho.—Zapraszam na wesele.

I z przynuszonyin śmiechem dodała:

— Pan lubisz podobno rezedę? Otóż jój gałązka z bukietu pana Farureja; niech mu ona przypomni, żeś mi pan dał słowo być na moim weselu.

— Będę pani — odpowiedział Wacław, zbierając się na siły—będę pewnie!

Wyraz, z jakim to wymówił, blask jego oczu, łza, co się w nich widocznie kręciła, przeraziły i poruszyły Cesię; chciała go jeszcze zatrzymać i ukoić, ale wybiegł szybko, i żywy tylko chód po wschodach słyszać było: uciekał.

Ciemnym zurokiem pożegnawszy hrabiego, który naglił, żeby się z tych stron oddalał, i Sylwana, który pogwizdując rzucił mu obojętne *adieu*: sićrota pospieszał do powozu stojącego u bramy, gdy lichy odziany człowiek, stary i siwy, oglądając się dokoła, zbliżył się ukradkiem do niego.

Wacław myślał, że to był żebrak i dobywał pieniędzy, ale wieśniak schwycił go za rękę. i popatrzwszy mu w twarz, zapytał:

— To wy Wacławek?

— Co chcesz mój stary? to ja.

— To wy: syn téj biédnej kobiety, co to na pasiece umarła... co to graf wziął was na opiekę?

— To ja mój kochany.

— A! to wy!—powtórzył wieśniak kiwając głową—A gdzież teraz mieszkacie?

— W Kudrostawie mój kochany. Lecz co chcecie odemnie?

— Nic, nic — odpowiedział stary oglądając się ostrożnie na wszystkie strony—nic, tak, to ja was tylko chciałem zobaczyć, bo to ja was dzieckiem hodowałem—i cicho dodał:

— Jedźcie-no już, jedźcie: zobaczymy się.

To powiedziawszy zawrócił się i uszedł.

Spotkanie to, słowa i wejrzenie tajemnicze. przerwały nowém wrażeniem pasmo uczuć pędrażnionych, przed chwilą żywą boleścią napełniających serce sieroty. Wacław wszedł do powozu ciekawy, zajęty spotkaniem, przeczuwając, że ono dla jego przyszłości obojętném być nie może; i pojechał mileczący i rozmarzony do Kudrostawu, gdzie zaraz na piérwszém wstępie obsypano go pytaniami o powóz i konie, po-



tęm o przyjęcie u hrabiów, o nich samych, o dom, zwyczaje i t. d. Dębicki niczego tak ciekawi nie byli jak pańskich obyczajów, bo też je małpować musieli po swojemu.

Wacław niewiele ich nauczysz, odszedł szybko z wielkim zgorszeniem obojga państwa by spocząć, gdy właśnie spodziewali się, że za dzień im odkradziony zapłaci, poświęcając cały wieczór usłudze około dzieci i przypodobaniu się łaskawemu państwu.

— To—rzekł Dębicki kwaśno po jego odejściu—jakiś bardzo góro-nos kawaler; udaje obywatela, choć jakiś znajda, sierota! We wszystkiemu mu dogadzają a jeszcze nie raczy i pogadać; potrzeba się tu inaczej wziąć do niego.

— Nie bój się, ja mu prawdę wypalę otwarciem—zawołała pani, która się w takich sprawach i w ogólności we wszystkiemu uważała za wyższą od męża, z powodu. że się bliżej o panów otarła—potrafię ja go upamiętać, co nam winien, i przypomnieć mu, kto my jesteśmy, choć nie hrabiowie... a zresztą jeśli nie zechce służyć jak należy jedząc nasz chleb, no, to szczęśliwej drogi, niech sobie rusza.



— A! stój Kasiu!—przerwał Dębicki—między nami mówiąc, byłoby to najgorzej; a coby to ludzie powiedzieli? Że nie my go odpędzili, ale on nas porzucił; dla reputacyi domu niechaj będzie.

— No! a jeśli tak ciągle nosa będzie zdzierać?

— To już jakkolwiek do roku dokończymy; inaczej rozsławia, że u nas i roku wybyć nie można.

— A czegożto dbać o ludzkie gadanie?

— Zapewne. Ale znowu, z drugiej strony—odezwał się Dębicki—lepiej nie dawać powodu do szkalowania.

Nazajutrz rano miała się zaraz pani Dębicka wziąć do Wacława przy lekcyi fortepianu; przyszła nawet i przeszła przez pokój: ale sinutna fizyognomia muzyka, jego chmurne czoło i jakaś wższość, której przewagę uczuła, zniewoliły ją odłożyć na potem wymówki. Jakoż i sam pan bardzo niespokojny, był za tém; a Wacław pozostał o niczem nie wiedząc. spokojnym.

Zmierzchało. Nieco odetchnawszy wyszedł nauczyciel z chłopcami na przechadzkę; gdy w ulicy topolowej, która wiodła do dworu, spotkali wczoraj w Denderowie widzianego starca. Przyjście jego tutaj, do najwyższego stopnia podbudziło ciekawość Wacława, ale przy dzieciach roznówić się z nim było niepodobna; odprowadziwszy więc wychowawców po przechadzce do domu, sam się uwolnił, oznajmiając, że ma pilną potrzebę odejść na godzinę, i nie czekając pozwolenia pani, która z tego powodu zabierała się do wymówek, uszedł szybko, bo wieśniak czekał na niego w ulicy.

Starzec to był z długą, siwą brodą, którego twarz okazywała, że przeżył na świecie lat około ośmdziesięciu; miała ona tę barwę mszystą, cechującą żółtkły pargamin i lice tych, co ukończywszy, rzec można życie, dogorywają już tylko. Długi włos biały spadał mu na tył głowy, zostawując odkrytą, połyskującą czaszkę i obnażone czoło; oczy były wpadłe i brwią siwą nawisłe, nos suchy, usta bezzębne i zakłęśłe; broda puszysta dopełniała obrazu téj zastanawiającej smutną powagą głowy. Przy-

garbiony, jakby go ciężar lat przełamał, szedł spierając się na kij. Ubior miał prosty, wieśniaczy ale czysty, i coś mówiło w odzieży téj, że nie zawsze ją nosił; krój siermięgi, chusta na szyi, czapka, do odprawionego dworaka podobniejszynie go czyniły.

I w mowie, acz prostój, przebijały się wyrazy niezwykle ludowi, rzadsze i nie z wieśniaczego wzięte żywota.

— Mój paneczku, rzekł siadając pod drzewem, a ciągle się przypatrując pilnie w twarz Wacławowi, powiedźcie mi naprzód, jakżeście wy od hrabiego odeszli?

— Wiecie, odpowiedział Wacław, że hrabia mnie wychował, wyuczył, i niech mu Bóg płaci, teraz o swoich siłach w świat puścił.

I wy to, wy — ten Wacławek, co to się wychował u mnie na pasiece?

— Tak! tak, — rzekł smutnie młody człowiek — sierota nieznanej, ubogiej matki.

— A macież na piersiach jaki znaczek? jaki krzyżyk? medalik? — zapytał stary.

Wacław ze wzruszeniem dobył krzyżyka i pokazał go staremu.

— Tak! to on! to on! — zamruczał pasiecznik trzęsąc się z radości i pośpiechu, chcąc mówić i myśli nie mogąc połączyć... — Czekaście, czekaście, mam wam dużo powiedzieć!... lecz na-przód o sobie, potem przyjdzie kolej i na was. Niedawno przyszedł zdaleka, z Podola; prosiłem się, prosiłem długo, lat kilka hrabiego. żeby mi pozwolił swoich pożegnać przed śmiercią, dopiero teraz dał się uprosić.

— Kiedy?— spytał Wacław.

— Trzy miesiące temu, ałem przyszedłszy do Denderowa już was nie zastał; tylko co was wyprawili w świat. Posłuchajcie, posłuchajcie, bo staremu droga godzina. — Naprzód moje życie.

— Mów, mów, mój kochany; a potem może, powiesz mi co o matce mojej, o dzieciństwie mojem.

— Słuchajcie, słuchajcie! aby tylko kto nas nie podpatrzył i nie podsłuchał, wszystko wiedzieć będziecie.

— Nie bój się, jesteście sami.

— Ja we dworze powiedziałem, że pójdę do miasteczka... nie powinni by się domyslać, że

tutaj z wami. Za młodu byłem ja kozaczkiem u ojca jeszcze hrabiego, pamiętam czasy nie dzisiejsze; potem służyłem dworsko, fornałem i furmanem, i znowu lokajsko przy pokoju, gdy nieboszczyk Filip *uciekł od kredensu*: a było to jeszcze za starego pana, kiedy oba panice byli w domu.

— Było więc ich dwóch? — spytał Wacław.

— A tak! było ich dwóch: starszy poszedł na wojenkę i gdzieś zaginął bez wieści, a młodszy po śmierci hrabiego objął włości i majątki. Lokajskom się naówczas wysługiwał jak mógł, wiernie trzeźwo i pocziwie; ale jak młody hrabia dzisiejszy nastał, już tam dogodzić było trudno; człek się poddreptał, nie był zręczny, ani ruchawy; odprawiono mnie do kredensu, potem do pasieki. Gdyby żył nieboszczyk panicz starszy, taki był dobry dla wszystkich, nie byłby pozwolił starego sługi sponiewierać; ale nasz... nie bardzo uważał, jak się z kim obejść, aby jemu lepiej. Siadłem ja tedy na pasiece z moją babą, bom się czasu tego i ożenił; gdy raz, jak dziś pamiętam, pod wieczór przyprowadzili do nas ze dworu jakąś kobietę

ubogą, lichu ubraną, z malutkiem dziecięciem na rękach, a mówiła jakimś cudzym językiem, że jój ani zrozumieć; mnie i mojej babie kazano ją hodować.

Na pasiece była chatka próżna porządna, bo tam bywało za starego pana jeździli na podwieczorki, to ją dla mnie oczyścili po jednej stronie, a po drugiej posadzili to biédactwo i kazali nam jój służyć.

Bylibyśmy i bez tego rozkazu z żoną jej posługiwali, choć się z nią rozmówić nie było można, bo litość brała patrząc na to nieszczęście. Widać to było dawniej i piękne, i młode, i do wygody przywykłe; ale nędza zjadła i strawiła piękność, młodość i nałóg dostatku. Z początku jak ją tu przyprowadzili ze dworu (mówili że to zebraczka, którą hrabia przytulić kazał);—ona okropnie krzyczała, rzucała się, coś mówiła jakby się odgrażała, przytulała dziecię do siebie, chciała uciekać; i słowem rzecz, miała postać szalonej, ale po niejakiim czasie, gdy się postrzegła że krzyk i gniew nic nie dokaże, że jój nikt nie rozumie, a każdy przez to bierze za obłąkaną, uspokoiła się biédaczka trochę

i zrobiła się łagodna gdyby baranek, tylko dnie i nocy płakała a płakała; czasem wyrывała się iść, aleśmy już pilnowali i wstrzymywali.

Prawie codziennie dowiadywano się z pałacu co się z nią dzieje; przysyłało trochę jedzenia, suknie, ale odtrącała wszystko i zdawało się, jakby każdy ten dowód starania i pamięci, jeszcze ją gorzej niecierpliwił. Wreszcie w ciągłych tak desperacyach i płaczu, zaczęła chorzeć, a dziecko, — toście to wy byli panoczku, — tak tuliła do siebie, tak ścisłała, jakby się lękała, żeby jój kto nie odebrał.

Miała jeszcze na palcu jakiś pierścioneczek gładki, złoty, i prosiła mnie, żebym go sprzedał żydom, a kupił jój czém pisać: co ja zrobiłem, bo wielka mnie litość brała nad nią. A niemałom się nabiedził nimem zrozumiał czego ode mnie chciała; ale jak zaczęła mi pokazywać, to papier jakiś, który przy sobie nosiła, to pierścionek, to udawać że liczy pieniądze, a potem że pisze: doszedłem jakoś czego jój było potrzeba.

Gożąco się chciała nauczyć naszego języka, ale mnie i żonie ciężko przychodziło pokazy-



wać jój, jak na co powiedzieć; a ona prawie ciągle tak była słaba, że leżeć musiała dni całe. Widać było ze wszystkiego, że odbyła bardzo długą i straszną drogę, bo i nogi jój pokaleczone a popuchłe, i obcy język, dowodziły, że nie była z naszego kraju. Wreszcie nieustannie pokazywała na zachód, składała ręce, modliła się i płakała, a was przyciskała do piersi ukazując pałacowi, i zdając mu się grozić zemstą Bożą. Co to wszystko miało znaczyć, ja do końca nie zrozumiałem. Z téj rozpacz i z choroby poczęło jój być wreszcie tak coraz gorzej a gorzej, że już z łóżka nie wstawiała; pisała tylko coś na papierze, którym jój kupił, chowała po kątach. a nauczysz się kilka słów naszych, ciągle mi powtarzała: „Ja umrę, ja umrę, nie oddawaj nikomu, tylko małcinu!” I pokazywała na was. a całowała w ręce, w nogi i mnie i babę, padała na zicnię, prosiła, aż jój musiałem na krzyżyku przysiądz, że woli jój dopełnić.

— Jakże wyglądała? — spytał wzruszony Wacław.

— Ciemne miała włosy, oczy czarne, płeć białą, twarz bladą i pociągłą; a tak była wy-



chudła, tak strasznie mizerna, usta miała tak spalone i pokrajane. ręce pokaleczone od powietrza, do którego widać nie przywykła. powieki ciągle nabrzmiały od płaczu, pierś nieustannym jęczeniem zmęczoną, że jeszcze w życiu tak biednej nie widziałem kobiety.

Gdy coraz słabszą się czuła, a śmierć już widocznie zbliżać się poczęła, a tu ani księdza, ani doktora nie przysyłano: poszedłem sam do dworu o nich prosić, ale mnie hrabia odepchnął z tém, żebym sam pilnował, dodając tylko:

— Jeśli umrze, dawać znać natychmiast.

Nie śmiałem ja księdzu oznajmić sam, choć biedna kobieta, gdy śmierć się już zbliżała. poczęła aż szaleć z rozpaczy, dziecko tuląc, to znów mi je oddając, to się zrywając z posłania, to zachodząc od płaczu, to śpiewając jak do snu synkowi, to jakieś szybkie, głośne, straszne niby przekleństwa rzucając w swoim języku.

Myśmy już z żoną jak mogli pilnowali, doglądali w ostatniej słabości i płakali nad nią oboje; moja stara nawet powiedziała:

— Co będzie to będzie. a dziecka jój nie oddamy nikomu.

Wacław słuchając starca powieści, łyzy ciągle miał w oczach, i piersi mu się poruszały łkaniem, ale nie przerywał mowy, by słowa z niej nie stracić.

— Ostatniego dnia, zebrała nieszczęśliwa papciry jakieś, związała je w chusteczkę, oplatała sznurkami, czém tylko miała owinęła i wstawszy z łóżka klękła przedemną, znowu całując mnie w nogi, a prosząc, bym tego nikomu nie oddawał tylko jój dziecku.

Gdyśmy jój oboje z żoną przyrzekli, usiłowała jeszcze pokazać nam, że się nas pytać będą szukać, żebyśmy dobrze schowali; a my uspokoiłi biedaczkę jak mogli.

Naówczas powróciła do łóżka, na które padła osłabiona, i płacząc łzami gorzkiemi, położyła przed sobą dziecię, złożyła ręce, poczęła się modlić, całować i łyzy błogosławieństwa popłynęły z jój oczu strumieniem na czoło twoje.

Strach było chwilami patrzeć, gdy przychodziła na nią rozpacz; włosy nam na głowie powstawały, gdy się rozśmiała nagle, gdy zawołała kogoś w nieznanym swoim języku, bo jedno imię powtarzała nieustannie.

Mnie to imię nie było trudno spauiętać, bo często u starych panów, podobnie wołano starszego naszego panicza.

— A jakie on miał imię?— spytał Wacław.

— Jemu było Henryk—odpowiedział stary—  
świeć Panie nad duszą jego, dobry, przedobry był człowiek.

— Tak przemęczywszy się kilka godzin, nie-  
szczęśliwa—mówił dalej pasiecznik—nareszcie  
Bogu ducha oddała jakoś uspokojona, a z rąk  
jój zaskrzepłych dziecinę płaczącą gwałtem od-  
jąc musieliśmy. Moja stara wzięła ją i przenio-  
sła do naszej chaty, a papiery schowaliśmy  
w ul pusty i zarzuciliśmy liściem suchym. Za-  
raz pobiegłem do dworu dać znać o śmierci bię-  
dnej kobiety, a gdy hrabiemu powiedział,  
zbladł tylko, wydał dyspozycye do pogrzebu,  
i rzuciwszy mi parę rubli, dodał:

— Dziecko odnieść do dworu.

— Jasny panie — rzekłem — ja nie mam  
dzieci; gdybyś JW. pan pozwolił nam tę sierot-  
kę wychować sobie? — Pomyślał i rzekł:

— Do czasu, dobrze, potem być może inna  
dyspozycja: niech tymczasem będzie u was.

A zostało się tam co rzeczy po téj zebracze? zapytał.

— Nie wiem, rzekłem, oprócz podartego trochę odzienia.

Jakby mu coś nagle na myśl przyszło, wziął nagle kij do ręki, kapelusz, i milcząc poszedł ze mną do pasieki. Tu przybywszy, nie chciał wejść do izby, w której leżała nieboszka, ale kazał tylko poznać jéj rzeczy, odzień, przejrzał sam, popytał czyśmy jakich papierów nie widzieli, i nic nie znalazłszy, bom mu skłamać musiał, że w chorobie wszystko popaliła, odszedł do pałacu, mówiąc jakby do siebie, com ja dobrze słyszał: Szalbierstwo było! I ani okiem nie rzucił na dziecko.

Ty kochany paneczku zostałeś się przy nas, ale nie na długo: w szóstym roku już cię do dworu zabrali, i to jakoś nagle, bo hrabia w wilią mi przyrzekł, że cię zostawi u mnie, a potem gdy jacyś sądowi zjechali i czegoś pytali o waszą matkę, kazał cię oddać do dworu.

— Gdzież są te papiery? gdzie są te papiery? — niespokojnie spytał Wacław — czy masz je? czy nie zginęły?

— Mam, mam — rzekł stary oglądając się bacznie i wyjinując z zanadrza sporą paczkę zasmoloną i widocznie leżeniem w ciemności i wilgoci nadwerężoną. — Otóż ci je oddaję. I Bogu dziękując, że mi dał dożyć téj chwili. Teraz już umrę spokojnie.

Wacław porwał z rąk starca paczkę, ucałował ją, przycisnął do piersi, chciał rozerwać, ale ciemność wieczoru wstrzymała popęd i ciekawość niespokojną. Pasiecznik mówił dalej:

— Jak tylko odebrali cię do dworu, zaraz rychło i mnie wyprawili na Podole. Prosiłem się bardzo, żeby mnie tu przy swoich u rodziny zostawili; ale hrabia jak co raz powie, to się nie wymodlisz. I tak lat kilkanaście na czużynie przyszło harować, biedować; a co rokum się do swoich prosił, i co roku mnie zbywali: „Nie można, ta i nie można.” Wreszcie teraz jakoś przed kilką miesiącami pozwolili tu przyjsć. A mnie już i sił brakło czekać, żeby jak wam oddać te papiery; powierzyć ich nie było komu, a strasznie się bałem, nuż mnie tak śmierć zaskoczy, choć upiorem powracaj. Bywało co pomyśle, aż drzę. No! dzięki Bogu, teraz mi

już lekko będzie, kiedy przyjdzie ostatnia go-dzina, a dobry czas!

To mówiąc podniósł się i błogosławiąc Wa-cława, który przed nim z uszanowaniem po-kląkł, rzekł:

— Daj ci Boże wszystko dobre paneczku! Byłeś choć kilka lat mojem dzieckiem i mojej starć; myśleliśmy, że cię dla siebie piastujemy, ale i jój przyszło skończyć, i mnie saminten-kiemu dziadem się włożyć.

Lzy potoczyły mu się po zmarszczonć twa-rzy — Tak, tak, rzekł, ale już mnie niedługo włożyć się i stękać: czas do swoich na mogił-ki. Ja tu już na świecie nie mam nikogo, nawet od siostry wnuki pomały; żywć duszyczki. i pasiekę moję przenieśli na Gawryłowe uroczy-sko, i ciata stara gdzie my żyli, zawałiła się w kupę gnoju.... Ja tam taki wyproszę sobie i sklecę szałas na starćm gruzowisku, i z węza-mi pobieduję, aż głowć przyjdzie położyć. Bę-dzie mi się czasem zdawało, że ja tam z moją staruchą.

Wacław chciał oddać staremu co tylko miał. a miał niewiele, ale stary wziąć się wzbraniał.

— A innie na co?—rzekł—chleba nigdzie nie odinowią, siermięg mam aż dwie, bo jedną od truanny chowam; kilka rubli jest w węzełku... nie potrzebuje ja tego: tobie się zda, moje dziecko.

Jakkolwiek niecierpliwy był Wacław chcąc co najrychleń rozwiązać oddane mu papiery, nie miał jednak serca porzucić starca, który powoli gawędził, rad będąc że go słuchają. Był to ostatni świadek zgonu jego matki, jej powiernik, człowiek co się nad nią ulitował, jego przybrany ojciec: jakże dla niego nie miał poskromić swęj ciekawości, pragnienia, i nie dać mu się wymówić do syta?

Późno już rozstali się, a Wacław przyrzec musiał jeszcze, że do niego przyjdzie do pasieki drogą, którą mu starzec dokładnie opisał.

Wróciwszy do dworu, zastał wszystkich długą swą nicbytnością niezmiernie rozjątrzonych. Dębicki chodził po pokoju głośno wyrzekając. Żona jego zbierała się na ostre wyrzuty, a chłopcy radzi z tego, gotowali się złośliwie słuchać z kąta bury, którą ich nauczyciel dostanie. Ale wielkie te przygotowania wojenne spełzły



na niczem, bo Wacław zamiast przeproszać i uniewinniać się, jak spodziewano, poszedł wprost do swego pokoiku, zapalił świecę i na zamek się w nim zamknął.

Sama pani, której zaraz o tém słudzy donieśli, niezmiernie się tém uczuła obrażoną i zagniewaną, a nie mogąc wytrwać, porwała świecę i cała rozogniona pobiegła szybko, i impetycznie zastukała do drzwi zapartych.

— Cóżto jest znowu?—woła poddrzwiami — co to za konduita pańska. Całe dnie i wieczory na jakichś nieprzyzwoitych przechadzkach, a po tém zanikasz się pan w swoim pokoju. My za to płacim, żebyś pan był przy dzieciach; musimy wiedzieć co robisz.

— Pani—odezwał się Wacław przywiedziony do niecierpliwości, otwierając drzwi—obowiązany jestem synom jój dawać lekcye muzyki i nie więcej: bawić państwa w salonie i służyć im w inny sposób nie mogę i nie będę. Jeśliście państwo nie radzi ze mnie, w każdej chwili dom ich opuścić jestem gotów....

To powiedziawszy, oburzony, widząc, że pani oczyma tylko przewracała i oddalała się mił-



cząca; zamknął drzwi, i siadł drogie rozpatrywać papiery.

W salonie niewysłowione poruszenie; gdy jejność przyszła z odpowiedzią nauczyciela, po długich rozprawach, w których się Dębicka odgrażała, Dębicki ją hamował, a dzieci podsłuchiwały; po trzy razy ponowionej kłótni stanęło na tém, żeby wszystko darować, zapomnieć, i nazajutrz nic już nie wspominać o wczorajszym wypadku.

---

Na ulotnych kartkach brudnego papieru, piśmem niewyraźném, śpiczném ale piękném, nakreślone było jakieś opowiadanie; nic policzbowane kartki, rozrzucone, pogniecione, bez porządku, ciąg przecież jakiś widocznie stanowiły. Oprócz tych papierów, dość gruby zwiitek tworzących, ostatniój po matce spuścizny, znalazł Wacław metryki, świadectwa, paszporta i różne dowody pochodzenia swego, w urzędowych wyciągach.

Jak piorunem raziły go te wyraźne skazówki, przekonywające że był synem Henryka Dendery, a synowcem hrabiego Zygmunta.

Historyi całej biednego wygnańca, żony jego i sieroty dowiemy się z następujących notat, które częstemi łzami obmyte, w srogiój boleści pisane, z bijącym sercem, z rozpaloną głową czytał Wacław, wzdrygając się nad zbrodnią tego, którego wczoraj jeszcze swoim dobroczyńcą nazywał i płacząc nad rodziców losem.

Oto słowa nieszczęśliwej matki, na łożu boleści, w przedśmiertnej chwili dla syna spisane:

\*

\*

\*

Co się z tobą stanie dziecko moje, dziecko moje! A! potrzebuję w téj chwili ostatniej, gdy mnie rozpacz porywa, powtórzyć sobie to, o czém długo zaponmiałam, rachując tylko na ludzi: Jest Bóg! jest Bóg. O! jest Bóg i weźmie w opiekę swoje sierotę.

Nie żał mi świata, życia, niczego, niczego; ale ciebie dziecię moje, tak rzucić całkiem sierotą, opuszczoną, kto wie może prześladowa-

na! — o! chciałabym żyć jeszcze! żyć! Panie! Panie daj mi życie, lub jeśli za karę odmówisz prośbie, weźmijże ty w opiekę niewinne dziecko moje. Chciałabym mu zostawić pamięć jego rodziców, ale czy te słowa dojdą kiedy do nieszczęśliwego, którego czeka poniewierka. ciemnota, służebnictwo! Za coś mnie tak ukarał Boże, tak ciężko, tak srogo, tak okropnie!

Trzeba się zebrać na siły, trzeba łązy otrzeć kobięcie, trzeba odwagi.

Któż więc, może te słowa, które kreślę ręką od gorączki drżącą, nie widząc ich za łzami; może też te słowa dojdą do dziecka mojego, wskażą mu kim jest, gdzie ma szukać swój ojcowizny, na kim się pomścić opuszczenia, u kogo dopomnieć losu.

Urodziłam się i wychowałam w Paryżu; ojciec mój był za cesarstwa jednym z najbogatszych spekulantów i bankierów stolicy; ja i brat mój całą jego stanowiliśmy rodzinę. Matki nie znałam nigdy, bo nas odumarła w dzieciństwie; oddana na mamki na wieś, potem na pensję w Paryżu, ledwie czasami widywałam ojca i dom rodzinny. Brat mój podobne także

za domem odbierał wychowanie. Ojciec żył w wielkim świecie swoich współbraci kupców pieniędzy, wśród zbytków, wśród wrzawy, wśród codziennych obaw i nadziei bursowej. Fortuna jego cała była oparta na szczęśliwych obrotach: to się chwiała, to się podnosiła, w różnych kolejach przedsięwzięć wielkich i gry papierowej. Dom jego utrzymywany był na wielką stopę; mieliśmy hotel własny ogromny. karety, konie i dwór liczny. Ile paniętam naówczas ojca, było człowiek tak zajęty, tak zawsze sprawami swemi opanowany, że ledwie gdyśmy do domu przyjeżdżali, miał czas nas uściskać; obdarzał wytwornemi podarkami. przemówił słów kilka, ale rzadko dzieci jednego cały z nami przepędził. W siedmnastym roku wróciłam z pensyi, gdy brat mój młodszy odcinnie kończył jeszcze nauki w kolegium Charlemagne; dodano mi do towarzystwa podżyła niewiastę, wdowę po jakimś wojskowym, i wyszłam na panią domu. Ojciec dogadzał wszystkim moim zachęceniom, stroił mnie, woził, pokazywał i na piękności mojej budował nadzieje połączenia się ze szlachtą starą, do której zbli-

żyć się pragnął. Była to chwila, w której właśnie Napoleon sprzyjał zlewaniu się różnych klass społeczeństwa, chcąc właściwą swęj dynastyi utworzyć szlachtę; wszyscy do myśli się jego zastosowywali mniej więcej chętnie, łącząc się rozinaicie: ludzie pieniężni chwytali na korzyść swoję objawioną wolę wielkiego człowieka, i usiłowali wcisnąć w grono dawniej lub nowszej arystokracji rodu i szabli. Na mnie spoczywały nadzieje uszlachcenia związkim ze starą zubożałą rodziną przedmieścia Saint-Germain; lub w braku jęj przybliżenia do dworu, wydając za którego z tych szczęśliwych wojaków, co z wioski i z pod słomianej strzechy wynosili w tornistrach laski marszałków Francyi.

Dom mojego ojca stał otworem dla wielkiego świata; poczęły się balc, odwiedziny, zabawy, i tłum gości płynął dziwując się zbytkowi, przepychowi, uprzejmości bankiera. Liczni starający się otoczyli mnie. W początkach bawiła mnie sprzeczność tego szumnego świata, z cichą pensyą, z której niedawno wyszłam; ale w tłumie nie wyróżniałam nikogo, wszyscy byli mi zaró-

wno obojętni, wszyscy tak doskonale do siebie podobni. Z ubogiej szlachty starzej, którą ojciec mój najwięcej u siebie widzieć pragnął, nikogośmy mieć nie mogli; za to wojskowych i młodych urzędników zjawiało się innóstwo. Naprózno starał się ojciec o herbowych gości: żaden z nich progu naszego nie przestąpił; bywali w kantorze, nigdy w salonach.

Bawiłam się wesoło, bawiłam nie wiedząc, że tylko na progu życia miałam doznać trochę słodkiego szału, by go opłacić później cierpieniem nad ludzkie siły. Wśród tłumu gości, zjawił się w domu naszym młody człowiek, twój ojciec, biedne dziecko, Henryk mój drogi, i wkrótce, choć stopniem w wojsku, ani postawą świetną, ani dostatkami nie uderzał wśród towarzyszków, zwrócił ku sobie oczy moje i serce. Litość mnie naprzód dotknęła nad smutnym wygnańcem; na jego pocziwiej twarzy przy męztwie żołnierza, malowała się boleść niestarta niczem, dziecka, co macierzystej pozbawione było piersi. Oko jego we łzie wiecznej pływało, i uśmiech nawet miał łzawy; a wyrazy wychodzące z ust jego wielce się różniły od

trziptowatęj mowy towarzyszków, bo były poważne, głęboko uczute i powleczone jakąś żalobą. Ale pocóż te wspomnienia, na cóż serce rozdzierać na nowo. — Henryk innie pokochał, ja wprzódę może jeszcze, niżeli się tego domyślał, jużem go kochała, jużem sobie przyrzekła być jego lub nieczyją. Wiedziałam odrazu, że ojciec z trudnością pozwoli na połączenie nasze, choc Henryk miał za sobą odwagę, zasługi, rany w obronie Francyi odebrane; ale obcy, wśród protegowanych, wśród zazdrosnych, niewielkie świetnego losu mógł roić nadzieje. Oczy ojca padły już były na generała Le..., który z prostego wieśniaczego syna wzniosłszy się na ten stopień, ślepo Napoleonowi posłuszny, dziko odważny, obiecywał wkrótce prześcignąć innych wzniesieniem się wysoko; któż wie? może aż do jakiego tronu? Henryk był kapitanem tylko, a dla córki bankiera, której obiecywano miliony, partya to była za skromna. Ojciec ledwie inie jego wiedział, i nie wiem czy go mógł w tłumie rozróżnić. Pułk, do którego Henryk należał, ciągle stał w Paryżu; stosunki nasze codzienn



były ściślejsze; i widywaliśmy się w kościele, w domu ojca, w domach, w których bywałam na zabawach, i wkrótce zbliżeni coraz bardziej powiedzieliśmy sobie, że nie nas nie rozdzieli. Przyrzekłam być jego żoną; on mówił mi, że może pozyskać przebaczenie, pozwolenie powrotu do kraju i odebrać należny mu majątek. Rozpieszczone dziecko, widząc dotąd we wszystkiemu ulegającego mi ojca, nie pojmowałam, by się mógł w czém woli mojej sprzeciwić, i jednego ranka poszłam mu wyznać wszystko. Słuchał mnie blady, przerażony, gniewny, zdziwiony; i ledwie skończyła, zadzwonił na sługi, zawołał moją towarzyszkę, głosem, jakiego dotąd nie słyszałam, zapowiadając mi, że więcej go widzieć nie będę. Bóg mnie zapewne ukarał za nieposłuszeństwo ojcu — choć widział, jak posłuchać było ciężko! Nieprzywykła do rozkazów, oburzyłam się, oparłam i wręcz odpowiedziałam, że słuchać nie będę. Nie znałam go jeszcze.

Rozżarty na mnie, porwał się z wściekłością prawie, i zawołał wielkim głosem, rozbijając kosztowne naczynie, które przy nim stało:



— Wiesz ty, co mówisz! Ja cię tak zgniotę i rozbiję, jak ten zlepek... ja nie rozumiem nieposłuszeństwa i sporu — jak chcę tak być musi; jestem ojcem dla dzieci, dla samowolnych i upartych potrafię być tyranem!

Więcej rozdrażniona niż przestraszona tym wybuchem, wyszłam z pokoju oświadczając, że mnie złęknąć nie potrafi.

Tegoż dnia pomimo czujności otaczających dałam znać Henrykowi o wszystkiem, zakazałam mu, żeby się nie pokazywał już u nas; prosiłam, by wszystko przygotował do ślubu, i przyrzekłam uciec dla niego z domu ojca. Nie wątpiłam, że on się później da przebłagać, a opiekun Henryka, cesarz, skłoni go do uznania tego związku.

Stało się, jakem pragnęła i zamierzyła: uszłam nocą z pod tego dachu, do którego więcej nie miałam już powrócić; ksiądz ujęty, ślub nasz pobłogosławił, towarzysze broni dopomogli Henrykowi do usunięcia wszystkich przeszkód, i zdumiona ale szczęśliwa, znalazłam się z pałacem w ubogiej, choć przystrojonej kwaterze wojskowego, wyświeżonej na przyjęcie moje.

Co się działo w domu naszym, nie wiem, lecz burza musiała być okropna: wszyscy słudzy zostali odprawieni, wdowa odesłana na prowincyą, i nazajutrz odebrałam list od ojca z przekleństwem i wyrzeczeniem się dziecka... Przywieziono mi trochę moich rzeczy, a oddający je oznajmił, żebym się więcej w hotelu pokazywać nie śmiała. Napróżno przez osoby wyżej położone i wielkie wpływy mające, staraliśmy się ojca przebłagać; nie nie pomogło. Henryk udał się do samego cesarza, a Napoleon kazał do siebie przywołać bankiera, który na zapytanie odpowiedział mu pokornie ale stanowczo:

— Najjaśniejszy panie, społeczność stoi na posłuszeństwie, rodzina jest zasadą państwa; N. Pan wymagasz, by go słuchali żołnierze, ja chcę posłuszeństwa od dzieci moich. Nie znam za dziecko zuchwałój córki, która się sama mnie wyrzekła.

Przyjaciele ułatwili mi potem zbliżenie się do ojca, ale mnie odepchnął nienależnie i zapowiedział, że oprócz szczupłej części, jaka na mnie z majątku matki przypadała, którą zaraz wypłacił, nic więcej po nim mieć nie będę.

Henryk robił mi jeszcze nadzieję, alem postrzegła wreszcie, że łudzić się dłużej, byłoby na próżno. Nastąpiły wojny, a ja w moim lichym domku w Paryżu, porzucona, sama jedna, drżałam, żeby mi wojna ostatniego skarbu, opiekuna i męża nie wydarła.

W czasie gdy Henryk był w Hiszpanii, ojciec nie chcąc nawet w godzinie zgonu przypuścić mnie do siebie, umarł wydziedziczając zupełnie: brat pozostał małoletni i opiekunowie obojętni, pełniący ściśle wolę ojca. Większą część czasu spędziłam w Paryżu sama jedna, z młodymi dziewczynami. Niestety, których pojęcia nie miałam, dopiero się poczynaly.

Na pociechę i strapienie, Bóg mi cię dał dziecię moje; ale gdyś ty na świat przychodził, ojciec twój do nowego powołany boju z Hiszpanii, leciał z pułkami Napoleona w przeciwną stronę na północ.

Spadek po matce mojej, znacznie już uszczuplony, ledwie mnie jeszcze utrzymywał; tymczasem Henryk zawsze był tylko kapitanem. Gdy drudzy szybko postępowali na wyższe stopnie, on leciał za nich w ogień zabójczy, zyski-

wał rany, leżał i jęczał po łazaretach Europy, wracał ledwie uleczony do walki, obietnicami łudzony, dręczony myślą, że los swój ciężki z moim związał; — a nie mógł się podnieść, nie mógł mi niczem strat wynagrodzić... Ja nie chciałam tylko być z nim razem, los jego dzielić, pocieszać go, zapewniać, że ubóstwo mnie nie przeraża; nieustanna wojna rozdziałała nas.

U twojej kolebki nauczyłam się modlić — dzięki tobie, dziecię moje! sama jedna, opuszczona, wyglądałam tylko listów, wieści, powrotu zwycięzców. Henryk był tam w swojej stronie, miał mi dać wiedzieć jak go przyjmie rodzina; ale od przejścia Niemna, nie miałam już od niego listu, i jakkolwiek przerabiane biuletyny wielkiej armii, przerażały mnie straszliwie. Spisek Mallet'a, potem powrót cesarza bez wojsk, bez tych krociów, które tam śniegi pochłoneły, odjął mi wszelką nadzieję. i biedną głowę moję zawrócił; od Henryka słowa nie było, mówili że zginął pod Moskwą, drudzy, że w przeprawie pod Berezyną.

Nie wierzyłam jeszcze temu ogromowi nie-  
szczęścia; biegłam do cesarza, do generałów.  
wszyscy już strachem panicznym jakimś przed  
upadkiem cesarstwa przejęci, odpychali mnie.  
zbywali. Nareszcie dowiedziałam się z pewno-  
ścią o jego zgonie, uierychło list krwią zbro-  
czony oddał mi towarzysz broni, przyjaciel  
jego... W tym liście, który ci zostawiam, znaj-  
dziesz powód podróży do waszego niegościm-  
nego, zimnego kraju! Henryk pełcał mnie  
bratu, oddawał rodzinie dziecię i żonę, zaklina-  
jąc ich na wszystko, co najświętsze, by się opie-  
kowali sierotami.

Trzeba więc było, gdy wszystkie środki do  
życia w Paryżu wyczerpałam, gdy ostatek za-  
pasu się rozszedł, gdy mi już i pensyi jako  
wdowie odmawiano w tym zamęcie; — iść ob-  
cój na drugi koniec świata szukać nowych kre-  
wnych i opieki.

O! nigdy, nigdy! nie zapomnę téj chwili,  
gdym w żałobie z tobą, dziecię moje, opuściła  
obojetne miasto moje rodzinne, z jednym tylko  
starym żołnierzem waszych legii, co o kuli wra-  
cając do kraju, ofiarował mi się za obronę

i przewodnika. Złożyliśmy razem dwa ubóstwa nasze, i powoli rozpoczęli długą wędrówkę żebraczą, która była, wszystkich rozkoszy młodości mojej pokutą. Prędko wyczerpał się ostatek zasiłków zbieranych na drogę. potrzeba było o proszonym chlebie, o litości ludzkiej, iść od drzwi do drzwi mijając miasta, wzdłuż tylu różnych krain, na daleką, daleką uciekającą nam północ! Wpół drogi mój towarzysz podróży, zachorzał; dziesięć dni pielegnowałam go, ale Bóg chciał mi odjąć i tę ostatnią podporę: biedne żołnierzysko umarł na lichym hałogę, w wiejskiej szopie, na najniegościnniejszej, na ziemi niemieckiej.

Nadzieja dobiecia się do kresu podróży, złożenia ciebie w ręce stryja, zapewnienia ci losu. wiodła mnie dalej samą jedną; a Bóg tylko wie jeden, ile upokorzeń, obelg, oszukaństw i straszego sponiewierania, wycierpiałam w tej drodze, która zdawała się trwać wieki.

Nieraz porywała mnie rozpacz wśród niedostatku, wśród burzy i słoty, wśród ludzkiej nielitości; padałam chcąc umrzeć i podnosiłam się dla ciebie dziecko moje, i szłam znowu dalej, a dalej.

Im bliżej byłam twoich stron, tém większa otucha wstępowała w serce; a choć o suchym kawałku chleba, szłam nowemi siłami do świta-  
jącego już celu. Znalazły się nieraz, znalazły  
dusze pocziwe, co mnie wspomogły, skierowa-  
ły, pocieszyły.

Lecz jakże ci opiszę ostatek, o dziecię moje!  
Nie chciałabym w téj chwili przedśmiertnej  
przeklinać, bo sama wiem jak cięży przekleń-  
stwo, ale serce się pęka, innie rozpacz pory-  
wa znowu... Ze łzami, z radością, z bijącym  
sercem, padłam u progu domu, który widział  
młodość mojego Henryka, do nóg jego bratu;  
szybko, jak w gorączce, opowiedziałam mu  
dzieje nasze, oddałam mu krzyż obłany poczi-  
wą krwią jego, na ostatniem polu bitwy, osta-  
tni list... i położyłam ciebie małego, schorzałe-  
go, drżącego od chłodu, uwinionego w łachma-  
ny, u stóp niehumanicznego człowieka!

A! zwierzyby się ulitował łez moich, nędzy  
naszej!

Spojrzał, pomyślał, nie chciał innie zrozu-  
mieć—odepchnął! odepchnął!! Zaniast przytu-  
lić wdowę, jak żebraczkę odsunął żonę brata.



ledwie chleba kawałek, jak z łaski jój rzuciwszy. Na moje łzy gorące, rozpaczne, odpowiedział szyderstwem, zowiąc mnie awanturnicą.

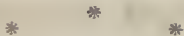
— Brat mój nie był nigdy żonaty — rzekł zimno — to są rzeczy podrobione, to są fałszywe...

Przecież miał w ręku dowody, przecież znał pismo jego! Nie wiem, jak potrafiłam mu wyrwać te ostatnie skarby twoje, te papiery łzami i krwią uświęcone, by je dla twój przyszłości ocalić. Chciałam iść dalej, sił brakło; musiałam, posłuszna jego woli, zwlec się na ten barłóg, który żonie brata na łożu boleści, a! i śmierci, przeznaczył!

Ale nie! nie przeklinajmy dziecię moje! przebaczymy!... Bógto przez niego jego ręką innie karał... a! sroga kara! ale wola Jego święta!

Gdybyż, gdyby wszystko się to skończyło na mnie! gdybym mogła za ciebie przecierpieć, zostawić ci lepsze nadzieje! ale to próżno!! Ten człowiek nie ulituje się nad sierotą... Widziałam go, widziałam bladą chciwość jego, obawę, pomieszanie... to zbrodzeń! Co się z tobą stanie? co ci zgotował? Boże! Boże! ja myśleć nie chcę! Wszak jest Bóg? wszak jest?





Dalszy rękopism wdowy tak był niewyraźnie, tak widocznie w gorączce pisany, tyle go razy łyzy zinyły, a drżąca ręka zatarła, że Wacław tylko mógł go przeczytać sercem spragnioném macierzyństwa; odgadując więcćj niż rozumując wyrazy dziwnie poplątane, świadczące w jakich niękach, w jakiej rozpaczcy umierała biedna kobieta.

Przejrzawszy, pożarłszy te papiery, czas jakiś pozostał pod wrażeniem okropnej powieści; płatało mu się w głowie, biło serce oburzone, myśl gorąca biegała od zamiarów zenisty do łez przebaczenia. Nie wiedział co począć z sobą, gdzie i jak się obrócić: musiał szukać rady u obcych. Ale jakże ich uczynić powiernikami téj zbrodni? jak ojca Cecylii, stryja, wystawić na wstyd i hańbiącą karę, któreby ścigały występnego?

Cała noc przeszła mu we łzach, na modlitwie, w namysłach; a nazajutrz potrzeba było iść do nieubłaganych obowiązków.

Zrana, po chwilec spoczynku, przerywanego jakimś przestraciem, chłodniej zebrawszy myśli, poszedł naprzód uwolnić się u Dębickich od dalszego u nich pobytu. Napróžno chcieli go utrzymać wszelkiemi sposoby, wczorajsze z nim obejście biorąc za powód niespodzianego postanowienia: Wacław oświadczył im, że inne zupełnie przyczyny zmuszają go dom ich opuścić. i w inny sposób pokierować swém życiem.

Z trochę pieniędzy, smutny ruszył w świat. ubogim wozem chłopka, niespełna wiedząc dokąd i po co; lecz pragnąc wzgardę i sponiewieranie matki niełitościwemu zapłacić stryjowi, surowo zapytując go o rachunek czynności.

---

W okolicy Denderowa. przy małym parafialnym kościółku w Smolewie, na samej granicy Polesia, mieszkał sławny z surowej cnoty, pobożności i chrześcijańskiego poświęcenia się, pleban. ksiądz Warel. Niemłody to już był człowiek, zestarzał w boju ze światem, w praktyce cnót religijnych i społecznych, doradzca nieszczęśliwych, lekarz ubogich, opiekun sierot, słowem, kapłan w całym znaczeniu tego wyrazu. Cnotą zasadniczą, na której spoczywają wszystkie inne, poświęcenie się, podniósł do najwyższego stopnia; dla Boga i ludzi zapominał zupełnie o sobie. Poważny i smutny, jeśliby go co wewnątrz dręczyło; niełitościwy

dla siebie, niezmordowany w pracy i jej wyszukiwaniu, ksiądz Warel żył tylko ofiarą. Dzisiaj, gdy duchowni często więcej są dla świata niż dla Boga i bliźnich; gdy stara pierwszych chrześcijan wiara a cnota stała się niepoścignionym ideałem; gdy zepsucie kazi czasem tych nawet, co na świeczniku stojąc, przykładem drugim przyświecać powinni: ksiądz Warel był zjawiskiem niepospolitym.

Rzadcy są zawsze ludzie, co jak on, w sprawie z sobą samymi, w niczym nie pობłażają. nie przez pół nie robią, rzucają się przeciw ofiarom, cierpieniu, boleściom, z gorącą żądzą, z zapalem, który niewielu pojmuje i ocenia. Wśród naszego zimnego, obojętnego społeczeństwa, jakże zdumiewać musiał?!

Pochodził on ze szlacheckiej rodziny oddalonego kątku dawnej Polski, i nikt nie wiedział powodów, dla których obłókł suknię duchowną; żywot jego tylko wnosić kazał, że prawdziwe wiodło go ku niej powołanie. Od dwudziestu już lat spełniał on obowiązki najprzód wikarego, potem plebana w Smolewie, a nikt powiedzieć nam nie mógł, żeby w czemkolwiek uchy-

bił, nawet największym wymaganiom swoich parafian. Probostwo to było jednemu z najuboższych, a razem najludniejszych: lasy bowiem otaczające Smolew, kryły w sobie chaty tysiąca przeszło głów szlachty i budników katolików, należących do księdza Warela; z bogatszych dworów ledwie kilka przypisanych tu było.

Drewniany, pochyły, stary ten domek Boży, podpierany i przystrajany wedle możności, czaruiawą wieżyczką swoją z maleńkim dzwonkiem wznosił się nad stare lipy, ocieniające cmentarz i plebanją. Dom proboszcza równie był pochylony, równie stary, wypaczony, wklęsły w ziemię, i raczej miał pozór ubogiej chaty, niż księżego mieszkania. Ksiądz Warel mieścił się w dwóch izdebkach mizernych, z których jedna, pokaźniejsza, przeznaczona była na przyjmowanie przybywających parafian, druga wyłącznie służyła jemu. Tu łóżeczko zakonne, prosty tapczan pokryty cienkim siennikiem; sosnowa półka z kilką książkami; krucyfix; flaszeczki i słoiki z pijawkami i różnym lekarstwem, stojące na starém biurku bez zamknięcia, na skrzynce i stoliku; całe stanowiły bo-

gactwo i przybór. Pierwsza izba czysta, ale wcale niestrojna, miała kilka starych krzesel. kanapkę pokrytą drelichem, stół tylko i zegar w szafce dębowej.

W tém więcéj niż skromném mieszkaniu, rzadkim był gościem gospodarz; cały oddany swym dziatkom, jak ich nazywał, dni a często i noce spędzał na posłudze około duszy i ciała. Gdy nie było koni, szedł pieszo w lasy pocieszać, leczyć, spowiadać, katechizować wyrostków, przygotowywać unierających. Rzadko zastać go było można w domu, chyba gdy nabożeństwo tego wymagało: bo ksiądz Warel z równą gorliwością, niezmordowany, spełniał obowiązki kapłana u ołtarza i poza kościołem. Nigdzie z większém poświęceniem, wiarą, zapalem, nie obchodzono wielkich uroczystości i pamiątek kościelnych; nigdzie lud nie śpiewał goręcej starych naszych pieśni pobożnych; nigdzie się nie modlił tak żywo a serdecznie przy strasznój ofierze. Jaśniało oblicze księdza, gdy spełniał tajemnice święte, zdawał się szczęśliwy, uniesiony, promienisty zapalem; lecz odstąpiwszy od ołtarza. często wpadał w zwykły

sobie smutek i zamyślenie, które zdawały się być właściwym stanem jego duszy. Twarz księdza Warela malowała to dziwne usposobienie: wyschła, żółkła, wyniszczona, przypominała dawnych ascetów; a płomień oczu łagodny razem i posępny, okazywał wewnątrz głębokie cierpienie i walkę, których wiara i modlitwa uspokoić nie mogła. Rysy jego twarzy były piękne, postawa poważna, włos siwiejący już skroń okrywał; czynne życie wyrobiło w nim mimo chudości niezmierną siłę potężną. Nic go zdaje się nie kosztowało znosić głód, słotę, zimno, pragnienie, bezsenność; jak gdyby duchem pobożności i ofiary podnosił się nad zwykłe warunki życia ludzkiego, nigdy się niczem pożyć nie dawał, zawsze był gotów do pracy nie potrzebując spoczynku. Chwile wytchnienia spędzał na gorącej modlitwie: długie godziny widywano go leżącego krzyżem u ołtarza; późno w noc zastawali go ludzie modlącego się ze łzami w swojej izdebce; a gdy ubogi zapukał nad ranem wzywając go o mil kilka do łoża chorego, na pogrzeb: zrywał się rzeźwy, zawsze gotowy na posługi, a nie słyszał nikt

by się na znużenie poskarżył. Prawdziwy sługa Chrystusów, dla braci wszystko co miał oddawał; miał niewiele, ale w rękę dobroczynnego drobny pieniążek, chleb suchy, wielu nakarmić mogą. Więcej też on czynił mając mało, niż wielu bogatych: bo oddawał wszystko i świadczył sercem razem i dłonią.

Z dziwną nieopatrznością a spuszczeniem się na wolę Boga, nie zasposabiał nigdy swój spiżarni ani domu: często nie było prawie co jeść; naówczas z radością szedł do drzwi sąsiedniego wieśniaka i prosił go w imię Boże o chleba kawałek: a każdy mu dawał ochotnie, z rozczuleniem, wiedząc, że jutro we dwójnasób u niego odbierze, chlebem i słowem.

Pomimo płochości naszego wieku i społeczeństwa, które rade śmieje się z tego, czego pojąć nie może; nikt nie ośmielił się jednak szydzić z tego człowieka, panującego wszystkiin swoją prostotą ewangeliczną. Dla niego możny i ubogi, znaczący i niekoczenny człowieczek, ostatni żebrak, zupełnie byli równi; szanował ich jako ludzi, obraży Boże, i bez ogródki mówił każdemu prawdę ojcowską, życzliwą, ale całą, a czę-



sto przykrą. Słodziły ją tylko pocziwe usta. podając łagodnie jak lekarstwo na chorobę. Znając wysokość swego powołania, nie uniział się przed nikim pomazaniec Boży; ale nikogo też nie obraził dumą. bo był nadewszystko pokorny. Godziła się w nim doskonale powaga kapłana z uniżeniem grzesznika chrześcianina. Obelgi znosił bez gniewu, z uśmiechem, z jakąś radością niemal; nieprzyjaciół nie miał, a chwilowo na siebie zawziętych upamiętywał i rozbrajał często jednym słowem. Wielki to był i święty człowiek...

Czemuż na tém czole opromienionem wiarą, tak często zjawiał się smutek? czemu w tych oczach płonących miłością Bożą i ludzi, tak często wytryskała łza i płomień boleści? czemu płakał samotny i szedł na modlitwę chmurny, posępny jak winowajca, jak żołnierz do boju. na który nie czuje się dość zbrojnym?

Któż zna głębię duszy ludzkiej? kto zajrzał na dno tajemnicze serca i rozplątał myśli człowieka? Bóg jeden widzi jasno ten dziwny kłębek nici. w których złoto i zgrzebno się miesza.

Do księdza Warela postanowił się udać Wacław z tajemnicą swoją, o radę i kierunek go prosić; znał go oddawna i szanował: wiedział, że nikt szlachetniej, nikt rozważniej naprowadzić go nie potrafi na drogę prawą. Czuł on, że i pocziwego serca i wyższego umysłu potrzeba było, coby mu wskazał ścieżkę, jaką należało iść dalej; dopominając się imienia przyszłości, majątku i upokarzając dumnego człowieka.

Przybywszy do plebanii nie zastał Wacław księdza Warela, który swoim zwyczajem na budkach spowiadał i katechizmował dzieci; stara gospodyni uprzejmie go prosiła, żeby na proboszcza zaczekał.

Usiadł więc na ławce od ogrodu na wpół zgniłej i poprzedników jeszcze proboszcza pamiętając: tu w zadumaniu i bolesnych myślach zatapiając się do wieczora; tyle zamiarów, tyle chęci walczyło w sercu jego! Już słońce zniżać się ku zachodowi i za czarną kryło się chinurę, gdy w ganku dał się słyszeć znany głos gospodyni staruszki i proboszcza:

— A co ino ja Doroto, jest tam co zjeść—  
mówił ksiądz Warel — dobrym kawałek zrobił  
piechotę; należy mi się strawa.

— Jest trochę barszczu i kasza — odpowie-  
działa starucha.

— Specyały—odparł ksiądz—a dziś sobota.  
dzień Najświętszej Panny; dosyć mi będzie je-  
dnego: daj wasani trochę barszczu.

— Ale tu ktoś czeka na jegomości!

— O! dawno! a kżóto taki?

— Od południa, jakiś młody człowiek; ubra-  
ny porządnie, ale przyjechał prostym wozem.

— A dałżeś mu jeść?

— Nie chciał nic: siadł sobie w ogródku;  
czegoś smutny, widzi mi się, jakby zapłakany.

— No, to schowajże sobie barszcz jegomościu-  
niu—rzekł ksiądz Warel — bo tu pilniejszy in-  
teres.

— Ależ jegomość pewnie dziś nic nie jadł?

— Owszem, owszem: chleba kawał i ogórka  
całego; będzie czas na wszystko: pilniejszy in-  
teres bliźniego, niż brzucha.

To mówiąc pśpieszył proboszcz do izby,  
złożył brewiarz co go nigdy nie odstępował na

stoliku i spotkał z roztwartemi rękoma Wacława, którego kochał.

— A! to ty moje dziecko—rzekł—jakże mi się masz? No! zdrów widzę, dzięki Bogu, i myśle, pobożny jakeś był. Oj! wiara, to wielki skarb, nie traccie jęj nie traćcie; ciężko ją potem odzyskać, a bez nięj żyć ciężęj jeszcze. I cóż mi powiesz kochanku, siadaj.

— Mój ojcie — rzekł z kolei Wacław — to z częm do was przybyłem, rzecz jest bardzo wielkięj wagi dla mnie; przyszedłem po radę i w niemałęj sprawie.

— Dobrze! dobrze! zawsze to ślicznie. Gdy młody starego i słuęi Bożęgo się radzi, a nie spuszcza całkiem na siebie. Bóg ci zapłać, siadaj serce i mów.

— Możemy mówić niepodśluchiwani?

— Śmiało, sami jesteśmy; słucham cię moje dziecko.

To mówiąć ksiądz Warel, jakby do rady wzywał Boga także, począł pociehu odnawiać modlitewkę, wzniósł oczy w niebo i usiadł biorąc rękę Wacława, który rozpoczął opowiadanie od historyi biędnęj swęj matki.

Proboszcz słuchał jój poważny, niekiedy ła-  
zakręciła mu się w oku, czasem spojrział na  
Wacława, jakby uczucia jego badał; w końcu  
gdy i papiery przejrzał, i ukończyły się te sinu-  
tne dzieje, zamilkł i głęboko się zadumał.

— Radź mi ojczy, radź proszę, co mam po-  
cząć?—spytał niespokojny Wacław.

— Czekaj-no serce, tu się trzeba wprzód  
pomodlić do Ducha Świętego—odparł ksiądz—  
do ducha dobrej rady. Rzecz straszna, sinutna,  
trudna; jutro rano odprawię na tę intencję  
msze do Ducha Świętego, pomodlim się oba.  
a potem pomówimy; zostań u mnie, przenocuj.  
wszak ci i tak nie pilno, boś podobno jak widzę  
Dębickich opuścił.

— Wytrwać mi u nich było trudno.

— Szkoda, bo uczciwego człowieka jak ty  
przewodnictwo, i dzieciom i starymby się przy-  
dało. Jedna pobożna dusza w domu wiele czy-  
ni dobrego. Dziś ci nic radzić nie chcę, jutro  
co mi Bóg natchnie, to ci powiem. A teraz mo-  
żebyś co i zjadł—dodał uśmiechając się—tylko  
cię uprzedzam, że słudzy Chrystusowi więcej  
żyją słowem Jego świętym, niżeli inną karnią;

u mnie ubogo: do czarnego chleba może nie jesteś przywykły. Ha! cóż robić, gdybyś i przepościł trochę ze mną, nic to nie szkodzi ani ciału, ani duszy. Dziś się z postu śmieją, a wielka to prawda przecie, że: ujmij ciała obroku, a dusza będzie syta. Wielcy święci nasi na pustyni podsycali się wstrzemięźliwością i unartwie-niem.

— Doroto, dawaj już barszcz i kaszę z grzybami: podzielim się z gościem czemu Bóg dał.

To mówiąc zasiadł ksiądz Warel przed ubogim stołem, a Wacław przy nim: ale ledwie łyżek kilka wziął do ust, gdy wszedł budnik zapłakany, na miłość Boga prosząc o pomoc dla ojca, który z barci spadłszy, połamał ręce i nogi, i konał w boleściach. Nie myśląc już o jadłach, chwycił proboszcz swoje flaszki i narzędzia lekarskie, zakasał poły starcej sutanny i pożegnawszy do jutra Wacława, ruszył z kawałkiem chleba w rękę.

Nierychło w nocy powrócił, a gość widział go jeszcze długo leżącego na modlitwie.

Nazajutrz rano odprawiła się msza o Duchu Świętym; nikogo nie było w wiejskim kościele-

ku prócz kilku żebraków. Ksiądz Warel odszedł od ołtarza rozjaśniony, przejęty, i ucałowawszy Wacława, rzekł do niego wróciwszy na probostwo:

— Jedź serce moje do lirabiego, powiedz mu o odkryciu otwarcie, bez srogich wymówek, z gotowością przebaczenia, z braterską liłością względem występnego; Bóg może zamknięte serce jego dotknąć, nie będziemy potrzebowali zapewne sprawiedliwości ludzkiej, o którą ze zgorszeniem dobijaćby się musiało. Zresztą, czyliż ci tak bardzo trzeba grosza i nie-nia pilno a koniecznie, żebyś obłąkanego chciał dla niej gubić, żebyś brata ojca twojego, krew własną, dał na wstyd i pohażbienie u ludzi? Czyż nie lepiej mu przebaczyć, a jeśli cię odepchnie, zostawić go sumieniu i Bogu. Od pięknego uczynku rozpocząłbyś życie i Bóg teżby ci błogosławił. Przy mszy świętej słyszeć musiałeś za każdym niemal słowem przykazanie miłości i przebaczenia.

— Lecz pamięć ojca, cierpienie matki: maż to wszystko pozostać niepomuszczone?



— Nie mów serce moje o zemście, bo jej chrześcianin znać nie powinien, i bez grzechu wyrazu tego wymówić nie może. Bóg jedynym mścicielem, my nie powinniśmy się uzuchwalać aż do zastępowania Go. Zemsta zawsze jest zła i występna. Matce twój Bóg już nagrodzić musiał w przyszłym życiu co tu ucierpiała; dla niej modlitwa twoja jest najpiękniejszą ofiarą. Zresztą, takżeto długie życie nasze, byśmy je na zemstę i krzywdę braci obracali, kiedy nam dano tę chwilę na udoskonalenie nasze i zbliżenie się do nieba.

Mówił tak długo i Wacław uczuł się do żywego dotknięty, poruszony, podniesiony; widział się wyższym od swego ciemńcy, spokojniejszym, szczęśliwszym. Pełen tych pięknych uczuć chrześciańskich, wyjechał z probostwa tym samym wozem wieśniaka, z myślą, iż ubóstwo jego piękniejsze jest niż dostatki stryja, kosztem czoła, spokoju i kłamstwa zdobywane tak mozolnie. Podsycając w sobie to uczucie całą drogę, pełen jednak wzruszenia i smutku, przybył nareszcie do Denderowa.



Z jak nową myślą spojrzał teraz na to miejsce uświęcone matki łzami, ojca wspomnieniem! Gdyby nie nauka księdza Warela, z jakąż żądzą chciwą zemsty byłby się dopominał o krzywdy swoje; ale wyrazy kapłana były hamulcem wybuchu jego, podnieciły pragnienie wspaniałomyślnego przebaczenia.

Jak zawsze zastał hrabiego w wytwornym stroju rannym, z twarzą wypogodzoną, dumną. pańską, wśród stosu papierów, marzącego o swém państwie, o obrotach, o nowych scenach dramatu, którein było czynne jego życie.

Wchodzącego Wacława powitał uśmiechem, wcale się nie domyślając, jak innym dziś przychodził dawny wychowaniec, sierota: ażeby go słuchać liczby z przeszłości; jak strasznym głosem miał się odezwać do niego: „Kaimie! gdzie jest Abel brat twój”?

Pozorny spokój wyryty na bladém czole hrabiego, wyższość z jaką dumny postąpił czynić wymówki Wacławowi, smutnie przejęły sierotę.

— A wacpan tu znowu? czy już od Dębickich?—spytał Dendera.

— Tak jest, od Dębickich.

— Tylkoż nie myśl mi wacpan wisić na karku—rzekł z nieukontentowaniem hrabia — dość już tego, dość: czas pracować i myśleć o sobie; młodość droga...

Zbity tą śmiałą mową stryja, który się wcale jeszcze nie domyślał odkrycia strasznych tajemnic, Wacław nie wiedział od czego począć: westchnął, wspomniął na matkę i obracając się dokoła zapytał:

— Jesteśmy sami?

Zaledwie to wyrzekł, hrabia pobladł, zniechęcił się i jakby już przeczuwał, że musi znieść rolę, że nadeszła jak piorun niespodziana godzina kary i upokorzenia, wybełkotał z niezręcznie udaną przytomnością:

— Cóżto jest?

— Mamy pomówić o rzeczy ważnej— rzekł zimno Wacław — rzeczy, której sędzę, nie powinni słuchać tylko my i Bóg.

Dendera jeszcze bardziej słowy i tonem przerażony, zagryzł usta, obejrzał się, postąpił do drugiego pokoju, i w milczeniu chmurném czekał zapytania, widocznie opanowany strachem. Wacławowi usta drżały. w głowie się zawraca-

ło; położenie jego dziwnie się zmieniało: pokorny dotąd sierota, stawał jako sędzia; uszanowanie do którego przywykł i nowe wymaganie stanowiska, do jakiego miał prawo, bój w nim staczały tajemny.

— Panie — rzekł po chwili łagodnie — pozwól się spytać: nie miałeś brata?

Hrabia, który jeszcze łudził się, że strach pańiczny przejdzie niczém, usłyszawszy to, zadrżał, cofnął się, obłąkanym wzrokiem potoczył i upadł na kanapę milczący, oczy wlepione trzymając w Wacława.

Twarcz jego wyrażała takie przerażenie, pomieszanie i przestach, jak gdyby istotnie głos Boży z góry go zapytał: Kainie. coś uczynił z Ablem bratem twoim? Ale po chwili nawykłość długa do udawania, pewność, jaką czas go obdarzył, że tajemnica wydać się nie może, dodały mu sił nieco: podniósł się i mierząc od stóp do głowy stojącego przed sobą Wacława, spytał, zbójcekie prawie rzucając nań wejrzenie:

— Dlaczego ty mnie o to pytasz?

— Wiész pan o tem—odpowiedział Wacław —bo ja jestem synem brata twego! brata, któ-

rego zagarnąłeś majątek, któregoś wdowę odepchnął, nie dając jej ani tego do czego miała prawo za życia, ani mogiły po śmierci, ani pościechy przy skonaniu, ani dziecku jej imienia. które mu należy...

Hrabia blady jak sciana, porwał się znowu z konwulsyjnym drżeniem.

— Szalbierzu! — krzyknął — kto ci te myśli podrzucił?.... To oszukaństwo, to spisek na mnie haniebny! Sierota, dziecię jakiejś włóczęgi, podnosisz się na swego dobroczyńcę, kłamasz rękę, która ci chleb dała!

— Nie jestem szalbierzem — rzekł Wacław usiłując utrzymać się chłodnym i rozważnym — ani ty panie dobroczyńco moim; kim i czém jestem, mam na to niezbite dowody i świadków: jeśli z dobrej woli zaprzeczysz mi pan mojego stanowiska na świecie, imienia rodziców; dojdę go w inny sposób.

— Dowody! A jakież możesz mieć dowody? — spytał z iskrzącymi oczyma Dendera.

— Twoje własne przekonanie, twoje pomieszczenie, twój przestach jest najpiérwszém — odparł Wacław śmiejąc — widziałeś inne, czytałeś

list ojca mego krwią jego zbryzgany; miałeś w ręku papiery, aleś je nieopatrzny rzucił, odepchnął, żeby przywłaszczony majątek brata zatrzymać. Trzymajże go—dodał Wacław—bom nie o niego przyszedł się upomnieć, ale o inną, o cześć matki, o spokój ojca w grobie... To wydarłeś i powrócić musisz!

— Jakto? ty mi śmiesz prawa dyktować!—wrzasnął hrabia w gniewie.

— Nie ja: twe własne powinno to uczynić sumienie.

— To są bajki, fałszywe, niegodziwe i podle szalbierstwa!—zawołał Dendera—a ty...

— Ja zapewne—przerwał Wacław—jestem w oczach twych jak matka moja nieszczęśliwa, niepotrzebnym tylko natrętem; ale nie umrę jak ona, na pasiece bez księdza i lekarza w ostatniej nędzy; Bóg na to nie pozwoli!

To mówiąc odwrócił się i chciał już odejść, gdy hrabia schwycił go za rękę; usta mu się trzęsły, oczy latały obłąkane, pierś buchała niepokojem występku.

— Co poczniesz niewdzięczniku?—spytał.

— Niewdzięcznym nie jestem, bom tu wpiérw przyszedł, gdy mogłem gdzieindziej pójść piérwój: pocznę co Bóg mi wskaże...

— Czego chcesz odemnie prześladowco mój i dzieci moich?

— Chcę sprawiedliwości, imienia mego, własności mojej.

Hrabia stanął, utopił oczy w podłogę, zamyślił się.

— Nie! nie! to być nie może! —zawołał—to hańba; lepićj śnierć!

I rozśmiał się szydersko.—Idź precz!

Lecz nim Wacław do drzwi doszedł, odwołał go znowu.

— Czego chcesz—spytał—chcesz majątku?

— Chcę imienia.

— Imienia! — rozśmiał się znowu Dendera z boleścią—Chcesz imienia splamionego zbrodnią którą mi dowodzisz, choć nie dowiedziesz.

— Chcę imienia, które mi się należy.

— Chcesz majątku?

— Części mojego ojca.

— Wyrzeczysz się imienia, zapomnisz wszystkiego?

— Więc nie jestem przecie szalbierzem! — zawołał podchwytyjąc Wacław — ani matka moja włóczęgą.

Hrabia uczuł się zmieszanym, zamilkł mierząc go okiem nieufném.

— Godzę się jak z napastnikiem — rzekł wykrętnie — prawda czy fałsz, znajdzie złośliwych co ją głosić będą; odbierzesz mi dobre imię, mnie i dzieciom potrzebne: wolę się okupić.

— Ja nie chcę jałmużny — odparł Wacław podnosząc głowę — ja chcę mojej własności.

— I będziesz jój dochodził, sromocąc ten dom, który cię od dziecka wychował?

— Wychował! — rozśmiał się z kolei Wacław — syna brata, jak sierotę! z litości, w upokorzeniu, w służebnictwie, ogołoconego z imienia, ze związków krwi drogich, podwójną zbrodnią uczynionego podrzutkiem...

Wzrokiem wzgardy i litości razem zmierzył Wacław hrabiego; wspomnienie matki nieszczęśliwej wzburzało go, potrzebował całej inocy duszy, by powstrzymać w sobie wybuchy gniewu, zemsty: ale słowa księdza Warela przychodziły mu na pamięć i tamowały go.

Wybiegł z pokoju hrabiego, zostawując go ciężkim myślową niepewności, postrachom, a sam wpół nieprzytomny popędził do ogrodu. Tu kilka ledwie zrobił kroków, spotkał Cesię, która zdumiona widokiem jego, krzyknęła, cofnęła się i śmiejąc zaraz zawołała:

— A! to pan Wacław!

Ale podnosząc oczy, gdy się ich wejrzenia spotkały, gdy cały niepokój duszy Wacława, jego krwawy smutek i wzruszenie głębokie dotknęły Cesię, śmiech zamarł na jej ustach, z liłością kobiecą postąpiła żywo zapytując:

— Co ci to jest? co to się stało panie Wacławie?

— Nic pani — odparł biedny muzyk, dłonią odgarniając z czoła włosy potem boleści oblane — nic, nic.

— Paneś mnie przeraził: jego twarz tak strasznie zmieniona!

— Jestem trochę chory...

— Powróciłeś więc do nas?

— Nie pani, tylko na chwilę — i westchnął.

— Wszak na wesele jeszcze nie czas! — uśmiechnął się boleśnie.



— Wesele! a prawda! zapraszałam pana; ale z tą twarzą upiora, z tém wejrzeniem zbójcy. dziękuję! Przestraszyłbyś mi pan gości i dzień mój jasny zasinucił.

— Byłżeby to dzień tak jasny? — zapytał smutnie Wacław.

— Dlaczegoż nie? — odparła żywo Cesia — dzień, który mojego ulubionego do nóg mych na wieki przywiąże. Pan nie wiesz jak on mnie kocha! Nie ma jak ludzie tego, co on wieku: umieją się przywiązać bałwochwalczo, służyć jak niewolnicy, słuchać jak dzieci...

— Panibyś chciała tylko niewolników, chwalców i posłusznych?

— Tak, bo lubię rozkazywać i królować — zawołała dumnie — Ale pan idziesz ze swą tajemnicą jak chmura z burzą: smutny, dziki; powiedzże mi co to jest? Straciłeś miejsce? wszak ojciec pewnie ci nie odmówi ani dachu, ani stołu, ani pobytu u nas...

— O! ja o nie nie proszę!

— Już tak dumny! — rozśmiała się Cesia ruszając ramionami — zkądże ta pycha?

Wacław zamilkł. Dziwaczna myśl przeszła mu przez głowę w tój chwili; kochał, lub zdawało mu się, że kochał Cesię, mógł położyć hrabiemu za warunek pozwolenie połączenia się z nią; dyspensę z Rzymu łatwo było wyrobić: cóż, kiedy coraz wyraźniej malowała mu się chłodną i płochą. Postanowił zajrzeć śnielój w głąb nieodgadnionego jój serca i po chwili się odczuwał:

— Dlaczegożbym nie mógł być dumnym? Każdy ma swoją dumę: wy panowie dumę panów, żebrak dumę ubóstwa, sierota dumę opieki Bożej nad sobą. Tak—rzekł—jestem dumny. przyznaje się.

— Cóżto za zmiana w panu Wacławie—ofuknęła Cesia prawie obrażona tonem odpowiedzi—nigdy go jeszcze tak mówiącego nie słyszała.

— Nigdy też silniej nie był wzruszony!—odpowiedział.

— Cóż pana tak porusza? odprawa od Dębickich—rzekła szydersko.

— Nic—odparł Wacław—porusza mnie widok młodej, pięknej istoty, która dla okłasków i trochy świecideł sprzedaje się starcowi...

— Cha! cha! a to wybuch osobliwszy! Boże! co się to panu stało, panie Wacławie: może wody!

Wacław spojrzał zinnno i usuwając się dodał:

— Pani nigdy wody nie zażądaś, bo nigdy się nie poruszyś: zawsześ jednostajnie zimna i obojętna jak kamień.

— Dziwnato rzecz, że sobie pan pozwalasz czynić podobne postrzeżenia?

— Dlaczegożby nie miał powiedzieć co myślę?

— Dlatego, że zbyt daleko stoim jedno od drugiego—zawołała obrażona Cesia—Nie spodziewałam się od pana podobnej niewczesnej szczerości.

Wacławowi dziki uśmiech przebiegł po ustach. zdjął kapelusz, uklonił się.

— Żegnam—rzekł—panią marszałkową Faurerj!

— Żegnam wacpana. mości muzyku!

W oczach Cesi jaśniał gniew i obrażona dumą, w jego błyskała litość; nie uszło jednak hrabiance, że coś dziwnego zmienić musiało ich położenie wzajemne. i jakiś niepokój nią owla-

dnął. Miała w sercu trochę uczucia dla niego, ono było najpiérwsze i przebijało się przez późniejsze wrażenia. Zinieszana spojrzała za nim, chcąc go odwołać, ale Wacław już był daleko; rozżarzony wchodził do pokoju, w którym hrabia sparty na rękę dumał, chwytając się jak tonący najdzikszych pomysłów i najniepodobniejszych obrony środków.

— Czekam jeszcze na odpowiedź stryja!— rzekł młody człowiek.

Hrabia powstał.

— Nie chcę wstydu, obnowy. zgorszenia. procesów: wolę nad to ofiary największe—odezwał się ze stłmionym gniewem—przystaję na wszystko: powinienes mnie oszczędzić, i dzieci, i ich... Powiem przed ludźmi, że dziś dopiero dowiedziałem się, przekonałem kim jesteś, przyznam cię synem brata.... Cesia może być żoną twoją, jej posag twoim działem...

— Panna Cecylia nie może być żoną moją— odparł Wacław— zbyt jesteśmý blisko pokrewieństwem, a zbyt daleko obojętnością: wróc mi pan imię. o resztę się ułożym...

— Dajesz mi więc słowo, że we mnie nie będziesz widział nieprzyjaciela, ale stryja, że przeszłość przebaczysz, że ludziom nie dasz powodu obwiniać mnie za ciebie?

— Niech Bóg sędzi przewinienia—rzekł Wacław uradowany, że się wszystko kończy — i przebaczy jak ja ci przebaczam... Matka moja w niebie za uznanie dziecka, wymodli cię od kary.

Hrabia jakby mu ciężar potężny spadł z serca, porwał, chwycił go za rękę i wiodąc go za sobą, rzekł szybko:

— Chodź więc ze mną, chodź ze mną.

W milczeniu dziwném przeszli ten dziedziniec, na który właśnie wygnanką, żebraczką. przychodziła matka Wacława, prosić napróżno litości u brata; wstąpili na wschody, otworzyły się drzwi salonu.

Tu już zgromadzeni byli: hrabina, Cesia, Sylwan i nieodstępny codziennie marszałek Farurej; kilka osób obcych ściąganych interesami, powiększały towarzystwo, jakby naumyślnie los ich na świadków przywołał.

Z nieudaną wzmuszeniem hrabia do środka przeprowadził Wacława, którego twarz posępny smutek i niejaka okrywała duma.

— Miałem brata — odezwał się pompatycznie Dendera — sądziłem będąc w błędzie, że zginął bezpotomnie; dziś odbieram dowody, że pozostawił syna po sobie: oto jest syn jego a wasz brat — obrócił się do Cesi i Sylwana — mój synowiec, Wacław Dendera. Dziwny zbieg okoliczności, ani mi o exystencyi jego wprzód wiedzieć, ani uznać nie dozwolił. Wychowałem sierotę, pan Bóg mi dał w nim krewnego.

To mówiąc z doskonale faryzeuszowskimi przejęciami ucałował młodzieńca, którego pierś na ten uścisk judaszowski się wzdrygnęła.

Przytomni zdumieni, osłupieli;... obcy tylko pospieszyli powinszować i unosić się nad wysoką wspaniałością hrabięgo, który ze wzruszeniem przechodzącym już jego siły, upadł raczej niż usiadł na blizkie krzesło.

Cesia blada jak cień, pierwsza przyszła do Wacława, i nie wiedząc jak go powitać, co mu powiedzieć, tylko rękę podała.

Sylwan niespokojny, bo zaraz porachował, ile go ten brat kosztować będzie, przybliżył się i uścisnął dość niechętnie; hrabina pobiegła męża rozpytać co się stało, ale mina jego posępna, wzrok szklany, usta drżące i niemota. odepchnęły ją od niego.

Całe towarzystwo, jakby sparaliżowane tém osobliwszém zdarzeniem, rozpekło się na kilka części; obcym pilno już było odjechać, żeby roznieść nowinę po sąsiedztwie, a domowi czekali na to równie niecierpliwie, żeby się od hrabiego dowiedzieć czegoś więcej. Zadumana Cesia obojętnie i zimno przyjmowała nadskakujące grzeczności Farureja, który ujrzawszy się zbyt cichym, wkrótce pod jakimś pozorem umknął z Denderowa. Wacław pocichu także wysunął się z salonu, siadł na biędny wóz swój, i wrócił do księdza Warela oznajmić mu skutek swego kroku, i prosić o radę co do dalszego postępowania.

Gdy się to dzieje, hrabia, którego siły wyczerpały się kilką blizkami siebie uderzeniami niespodzianymi (bo kilka dni temu odebrał był też wiadomość, że matka żony wyszła za



mąż), milczący zwłókł się z kanapy i w łóżko położył.

Całe jego postępowanie z Wacławem nacechowane było piętnem słabości charakteru, szczęściem zasłaniającej go teraz od większych występków i wstydu. Zapałszy się bratowej i jej dziecka, obawiał się powiększać zbrodni tej zabójstwem: ograniczył się tylko wywłaszczeniem i nieumiejętnym zakryciem pochodzenia dziecięcia. Dziś do walki, procesu, boju, zabrakło mu także siły; ugięty przestraszeniem, wolał na wszystko pozwolić, niż wieść z nim upokarzającą sprawę. Duma i dbałość o opinię uratowały go na ten raz od ostatecznego upadku, ale myśl oddania połowy nadwreżonego majątku, co przy spłaceniu długów byłoby go zubożyło do reszty, doznane w tych czasach straty i przeciwności, tak silnie go dotknęły, że gorączką miotany, o mało nie postradał życia.

Straszliwych symptomatów choroba rozwijała się z szybkością niesłychaną. Rozesłano po lekarzy; a hrabina u łóża chorego przyszła z francuzkimi romansem w ręku grać rolę rozpaczającej małżonki.



Cesia po odjeździe Farureja i Wacława, zatopiona w czarnych myślach, siedziała w krzesle nieruchoma, jakby w nią piorun uderzył: najdziwaczniejsze obrazy, domysły, zamiary snuły się po młodej głowie. W piérwszój chwili nie powiedziała Wacławowi, szukała tylko jego wejrzenia, ale go spotkać nie mogła; później usiłowała się zbliżyć: widocznie od niej unikał. Teraz łza spłynęła z jój oczu, łza gorzka upokorzenia, przez którą już patrzała nadzieja świetniejszych losów. Tak rozpieszczone dziecię, gdy je lekka spotka przykrość, myśli o zabawkach, by się co najprędzėj rozerwać, znieść jój nie umiejąc. Wypadek niespodziany dnia tego, najżywiėj obszedł Cesię; widziała dziś podobném, co wczoraj wydawało jój się poczwarną śmiesznością: serce jój biło, odradzała się miłość; z drugićj strony uśmiechało się bogactwo, znaczenie, uśmiechał się los królowej wszechwładnėj. Stała między dwojgiem szczęścia, nie umiejąc wybrać jeszcze, pochylając się sercem na stronę Wacława, głową ku bogatemu starcowi. A że żyła raczėj głową niżeli sercem. bo uczucia jój brakło, lub nierozwi-

nione spało jeszcze w głębi piersi: łatwo wyrachować kogo czekało zwycięztwo.

Hrabina po mężu cierpiała podobno najwięcej; jej wstręt do Wacława pomnożył się jeszcze i wzniósł, ale go ukryła starannie, jak wszystko, co czuła, tać była zwykła. Uśmiechem powitała krewnego, nie dała po sobie poznać boleści, i otuliła się powagą i smutkiem.

Sylwan widocznie był tém mnóstwem po sobie następujących wypadków niepomysłnych przejęty głęboko, i chimura smutku nad czołem jego zawisła; a zwykła mu samowolność i lekceważenie wszystkich, które każde rozdrażnienie powiększało, nieziniernie się w nim wzmo-gły. Szedł zamyślony, gniewny, dumny, z brwią namarszczoną do swoich pokojów, nie racząc nawet spojrzeć na matkę i ojca, ani się do siostry odczuwać, ani swych myśli z kimkolwiek podzielić. Dumał tylko o upadku majątku, znaczenia, nadziei swoich, z rozpaczą, na którą nie widział ratunku. Przywykły uważać los za służbę słuchającego skinienia, gniewał się, że mu wydierał to, co jak sądził, słusznie, koniecznie mu należało. Jedyną zbawczą deską w jego

głowie było ożenienie; na niém gruntował rachuby przyszłości, z bogacenia nowego i podniesienia się: nie wątpił bowiem, że na pierwsze jego wejrzenie, na wyciągnięcie ręki, rzuca się ku niemu tłumami dziedziczki milionów.

Znalazłszy sobie tę pociechę i postanowiwszy udać się zaraz gdzie w obcą stronę (gdyż okolica nie była godną młodego hrabiego), uspokojony nieco, zapalił cygaro, i położył się na kanapie z wice-hrabią Bragellone Dumas'a.

W domu znowu zabierało się na nieporządek i rozprzężenie; popłoch poprzedzający zwykle chwilę upadku, wszędzie czuć się dawał. Choroba hrabiego, uznanie synowca, uspokojonych czasowo, znowu poruszyły wierzycieli, sług i przyjaciół domu.

Wacław jechał do Smolewa, i ze łzami uściskawszy księdza Warela, opowiadał mu swoje przygodę.

— O! widzisz, że ci Pan Bóg poszczęścił — rzekł proboszcz — patrzajże, żeby ci twoje sieroctwo, opuszczenie, stan dawny, były płodną na przyszłość nauką. Znasz cierpienie, boś cierpiał; wiesz jak boli upokorzenie, osieroce-

nie, nędza, służebnictwo; pomagaj drugim. a uczynkiem podziękujesz Bogu za to, coś z łaski jego niespodzianie otrzymał. Zresztą, jak wielu, co się modlą w cierpieniu, a zapominają o Bogu, gdy im dobrze, nie trać wiary: skarb to wielki. Są ludzie nicopatrzni, co w szale szczęścia rzucają go na drodze, sądząc, że potrzebować nie będą; ale kiedyż się wiara nie przyda?

Na takiej treści rozmowie zszedł wieczór. Wacław dla uregulowania swojego nowego bytu, potrzebował jechać do Żytkowa; i nazajutrz otrzymawszy potrzebne papiery, których hrabia na pierwsze zażądanie nie odmówił, wybiegał się już w podróż, ale uczuł się słabym. Ks. Warel go nie puścił; doznane wrażenia, zmiana losu, niepokój, rzuciły go także na łożo boleści. z którego młodość dzwignąć go miała.

---

Ksiądz Warel z troskliwością matki pozostał przy chorym, pielęgnując go najstaranniej i nie oddalając się, chyba dla spełnienia koniecznych obowiązków swego stanu. Naówczas

zostawiał w swoim miejscu pocziwą Dorotę, staruszkę najlepszego serca, ale gderliwą, która i proboszczowi nieraz dokuczyła wymówkami i przepowiedniami, i choremu téż ich nie szczędziła.

Smolew był blisko Wulki, a Kurdesz wielkim przyjacielem plebana; codziennie prawie stary wojak odwiedzał księdza, którego potrzeby tajemnie opatrywał, tak, że tylko Dorota i on wiedzieli o tém; Warel byłby bowiem téj ciągłej ofiary nie przyjął, ale zbyt zajęty, nie dopatrzył się zkąd co przychodziło.

Tu stary szlachcic pierwszy raz spotkał Wacława, i widząc, że mu w plebanii pomimo starań księdza nie najlepiej było, uprzejmie zaprojektował przenosiny do swego domu, zaręczając, że Brzozosia i Frania dobrze go dopilnować potrafią. Napróżno opierał się temu i ksiądz Warel i Dorota nawet; plebania była oczywiście wilgotna, doktor od Wulki mieszkał niedaleko, wszystko zdawało się przemawiać za wnioskiem rotmistrza: zaprzczono więc brykę i chorego przewieziono do znanego nam dworku.

Wiadomość o tém niesłychanie w początku zdumiała, potem rozradowała Brzozosię, która miała między innemi tę wadę, że się nudziła łatwo i potrzebowała nowości; przytém gdy się jeszcze dowiedziała, że to był hrabia i tego nazwiska co Sylwan, poczęła sobie powtarzać po-cichu:—Kabała! kabała! kto wie co się to wy-swięci: ona skłamać nie może!

Poczęła tedy zaraz wypytywać spiesźnie jak Wacław wyglądał, ile miał lat, jakie oczy, włosy i t. d. Skutkiem tych badań było głębokie prorocze zamyślenie.

Oporządzono pokoik dla Wacława, a straż nad nim polecono naturalnie Brzozosi, która wzięła to na siebie z wielką radością; Frania tylko przez okno zobaczyła bladą twarz chorego, gdy wysiadał przed gankiem i wchodził do pokoiku, przytykającego do jój mieszkania.

Nie byłato ciężka choroba; w początkach zaraz przerwała ją kuracya stosowna: pozostało osłabienie i ten stan przejścia, który dzieli zdrowie od cierpienia. Wacławowi tylko wychodzić i wyjeżdżać zakazano.

U łoża hrabiego zbierali się także zawołani medycy, głęboko rozmyślając nad przyczyną i nazwiskiem choroby, której *causa proxima* zakrytą dla nich była. Każdy z tych panów mając jakąś słabość faworytkę, którą wszędzie i we wszystkiem widział, symptomatów jej uporczywie szukał u hrabiego, i znalezione po swojemu determinował. Każdy téż stosowny sposób leczenia doradzał; lecz że pilniejsze środki zaradcze wskazywał sam rodzaj choroby, na nie się zgodzono bez wielkich sporów. Ze trzech przytomnych lekarzy, jak często bywa, ten, który mówił najgłośniej, rozprawiał najniedorzeczniej ale zuchwale, zagadywał swych współtowarzyszów i umiał swoje niewiadomość pokryć ładnie uszytą suknią szarlataneryi,—otrzymał pierwszeństwo. Zasługa cicha, nieumiejąca mówić o sobie i za sobą, zawsze przyzostaje w cieniu: zarozumiałość idzie naprzód!

Hrabia, pomimo że się dostał w ręce szarlatana, niejakiego pana Szturm, znanego w okolicy z tego, że leczył jak kto chciał: homeopatya, allopatya, hydropatya Priesnitzowska,



elektropatya, Leroy, Morissonem, i podtrzymywał ten eklektyzm zgrabnie ukleconym systemem; pomimo leczenia najdziwaczniejszego, przychodził do siebie, mając jeszcze wiele życia i siły, głównych warunków zdrowia, bez których podstawy żadna medycyna nie może. Pan Szturm, który wedle zwyczaju swego szeptał wszystkim, że słabość jest nieczmiernie niebezpieczna, przypisał naturalnie sobie cudowne ocalenie pacyenta, i nazywał to jedną z najszcześliwszych swoich praktyk, co w istocie winien był tylko losowi: bo dokładne nawet poznanie słabości tak było trudnem, że go się musieli wyrzec wszyscy medycy. Jak w wielu chorobach przyplątało się to, co wprzód tało się długo lub słabo odzywało; teraz komplikowało to słabość, zaciemniając główne symptomata, mnóstwem podrzędnych. Pedogra z całym orszakiem najdziwniejszych swych cierpień opanowała hrabiego, przechodząc z nóg, w których zwykle mieszkała, w odwiedziny do góry. Sprowadzono ją jednak na pierwszą sadybę, nie dając zasiedzieć w niewygodnych dla niej organizmu zakątkach. Ale



w miarę jak zdrowie odzyskiwał hrabia, przypomnienie niebezpieczeństwa w jakim został, wstydu którego doznał, upadku co mu groził, miały nad nim coraz silniej. Potrzeba było oddać wierzycielom, oddać Wacławowi i pozostać na bardzo małym. Przywykłemu do zbytku, przyzwyczajonemu do państwa, na to hrabia nie miał rezygnacyi. Pocieszała go nieco myśl, że Farureja z córką ożeni, na którym wielkie też urojone osnuwał nadzieje; potrzeba było uspokoić wierzycieli, coby nań czyhać już mogli, a przedewszystkiém ukołysać rotmistrza Kurdesza, którego dwóchkroć nie był w stanie oddać hrabia. Po długich bezsennych nocach myślenia i kombinacyi, okazała się potrzeba wezwania w pomoc Sylwana. Sylwan, który ze swej strony marzył, wybierając się na kampanię matrymonialną, przyszedł do ojca powołany, ale obojętny, nadęty, znudzony.

Hrabia leżał na łóżku blady: oczy tylko jasne, błyszczące ogniem życia, podsyconym jeszcze chorobą, objawiały grę wewnętrzną uczucia. Dziwnie zmieniony, wychudzony, zapadłemi policzki, suchą i pomarszczoną ręką.

czołem pofałdowaném, wpół oparty na poduszkach, zgarbiony, dumał boleśnie. Sylwan nie uczuł na widok téj postaci wrażenia, jakie na nim uczynić była powinna; zimne jego serce przykryło sobie w widoku cierpienia, ale go nie podzielało.

Rozparł się w krzesło, ziewnął i spytał:

— Jakże się hrabia ma?

— Lepiej, lepiej, — odpowiedział żywo zapytany — ale muszę myśleć i myśl mnie trawi... a myśleć potrzeba.... Potrzeba o sobie myśleć, inaczej źle być może. Nie znasz panie Sylwianie stanu naszego majątku: upadek! ubóstwo nam zagraża!

— Owszem, domyślałem się tego, i postanowiłem téż póki czas myśleć o sobie.

— Właśnie i ja pracuję nad tém, — rzekł stary hrabia.

— A! więc słucham! — skłaniając się prawie szydersko odparł Sylwan.

— Trzeba żebyś nas ratował; stoimy jeszcze wynodlonym i wypracowanym przezemnie kredytem. Przed tobą nie mogę i nie powinienem nic tać; od zabrania klucza Słomnickiego

poczęły się nieszczęścia nasze... Pojście za mąż babki waszej—szaleństwo! głupstwo!... Ten synowiec.... (wymówił ciszej), długi... wszystko to zabiera nam i majątek, i nadzieję podźwignienia się. Jeśli jeszcze wierzyciele razem o wypłatę się dopomną, zginęliśmy.

— Tak, to wiem, ale jak temu zapobiedz?

— Ludzie są jak owce—mówił z wejrzeniem na Sylwana przenikliwém hrabia—idą, gdzie ich poprowadzą drudzy.

— To być bardzo może, ale cóż nam z tej sentencji?

— Posłuchaj: właśnie Kurdesz jest głównym wierzycielem, jeśli jego nie uspiemy, za nim rzucą się wszyscy.

— Ale cóż z tym starym wędzygą począć?

— Hm, gdybyś się starał o jego córkę?

— Jużciż zdaje mi się, — rzekł oburzony Sylwan— że coś przecie lepszego znaleźć mogę!

— I ja tak sędzę — ale starac się, zaręczyć nawet, a ożenić się, całkiem rzecz inna. Potrzeba żebyś się starał, nawet z pozwoleniem i wiedzą moją, ale do ożenienia nie przyjdzie, a zyskamy na czasie.

— Samo staranie się jest upokarzające, — odezwał się Sylwan, — zwłaszcza po tém, co zaszło.

— Ale cóż zaszło? — podchwycił stary blednicząc.

Sylwan poprostu, otwarcie opowiedział wszystko, aż do próby przekupienia Brzozosi, nie szczędząc szyderstw i obelg domkowi szlachcica.

— Ba! — wysłuchawszy rzekł stary, — to jeszcze nic: wszystko to w korzyść się obrócić może; powiesz, że twoja miłość tak jest silna *et cactera*, że mi padłeś do nóg, że ja musiałem zezwolić. Stary, że to kuta sztuka, przyjedzie innie spytać: ja potwierdzę. Przeciagnie się staranie, a gdy zyskamy folgę, może się znajdzie jaki inny ratunek, i tu zerwiemy. Zdaje mi się, że trochę się pounizgać nie powinno ci być ciężko?

Okropny uśmiech chorego tym słowom towarzyszył: iskrzącemi oczyma, badawczo spoglądał na syna. Ten właśnie z wielką precyzją ślinił i obcinał cygaro, zadumany, wykrzywiając usta (nie wiadomo z powodu wniosku, czy cygar) i zapaliwszy Hawanę, odpowiedział:

— Wszystko to hrabio, pozwól sobie powiedzieć, trąci szalbierstwem.

— A! jeśliś taki skrupulatny,— zawołał hrabia żywićj, — no, to panna ma więcćj trzechkroć choć w perkaliku chodzi; to znaczy tyle co posag twój matki, a dziś nasz cały majątek nie wyniesie trzechkroć, więc się sobie z nią ożeń.

— A! bardzo dziękuję, — odparł Sylwan, — wieśniaczkę taką, koczkodana wziąć, cóżbyim z nią robił? Potém, zdaje mi się, że mając się sprzedać, mógłbym wziąć za siebie tyle przynajunnićj, ile Cesia.

— Niezawsze tak się trafi.

— Za pozwoleniem hrabio, chcićj pamiętać że mowa o mnie! Zdaje mi się — z udaną skromnością dodał Sylwan, — że podobnych mnie młodych ludzi na setki u nas nie liczą.

Hrabia był w tój chwili jasnowidzenia, w której niezawsze są ludzie: uczuł całą śmieszność głupiej zarozumiałości Sylwana i na jakie go musiała narazić zawody.

Ruszył tylko ramionami i zamilczał.

— Zresztą, — rzekł Sylwan, — pojedę, zobaczę — ale nierychło. Muszę sobie dać czas zapomnieć o téj babie, która innie tak wyłajała.

— A! zachciałeś! na cóżbo jój było dawać pieniądze?

— Mógłżem pomyśleć, że ich odinówi?

— *Qu'on se le dise!* pieniądze!!!

---

Gdy się tak Sylwan wybiera jechać do Wulki, a upokorzenie zinusza go zwlekać, bo wstyd mu po raz setny probować, co się tyle razy nie udało; Waclaw z osłabienia wychodząc powoli, upodobawszy sobie starca i jego skromny domek, siedział tu jak dziecię rodzi-ny, pieszczony, codzien przy Frani, codzien z nią razem, narażony na nieuchronne zakochanie!

Długo obraz Cesi dumnej, zimnej, rozkazującej dziewczyny, był tarczą, co go osłaniała od nowego uczucia; ale widując Franię codzien, oceniając jój łagodność, dobroć, i w piękne jój wpatrując się oczy, które tak żywo za serce ręczyły: powoli pomyślał naprzód sobie, czemu to Cesia do niej niepodobna? potem gorz-

kiemi wyrzuty odtrącał nowy obraz od siebie, zacierał wspomnienia kilku chwil przelotnych, nawpół gorzkich, wpół miłych, co całe miłości jego stanowiły dzieje; nareszcie rzekł sobie: Czemużem jój nie kochał?...

Od tego słówka, do przywiązania namiętne-  
go nie było daleko.

A Frania? Frania z sercem zupełnie wolném, naprzód litością ku niemu zdjęta, potem powoli pociągniona powabem człowieka, jakiemu równego jeszcze nie spotkała: z samowolnością pieszczonój dzieciny rzuciła się w nowe dla siebie uczucie.

Brzozosia śmiała się pocichu, patrzała, widziała i nie wiem jaką siłą nadludzką niesłychanie się męcząc, utrzymała język za zębami. Kurdesz zdawał się niczego nie domyślać.

Chory młodzian codziennie miłszym się stawał wszystkim w Wulce, codziennie więcej zajmował prostą wiejską dziewczynę, która czuła wyższość jego i do niej leciała jak ptak do słońca. Tak miło słuchać jój było gdy czytał, gdy opowiadał zajmujące przygody życia swego, chociaż z nich wyrzucał co tylko ludzi obwiniać mogło.

Kurdesz spojrzawszy w oczy Wacławowi, uznał go uczciwym, poczuł dla niego sympatyę, nie bronił córce przebywać z nim większej dnia części, i zostawiał ich przy Brzozosi zupełnie spokojny. Nie obawiał się on zdrady ani podejsścia; zresztą może głos mu szeptał tajemny, że los nastęzczał uczciwego zięcia, a córce męża, w którego ręce śmiało przyszłość jej powierzyć może. Jak Wacława pan Jacek ocenić potrafił, tak daleko od niego będąc wyobrażeniami o ludziach i życiu, wytłumaczyć nie potrafię: sądzę, że tu serce nad wszystko działać musiało, że wiodło go przeczuciem.

Życie w Wulce tak od niejakiemu czasu było miłe, dnie biegły tak rąco wszystkim, że choć widocznie przychodził do zdrowia gość, niepilno mu było uciec z pod strzechy rotmistrza i wyjrzcć na świat, który teraz całkiem się nowy dla niego otwierał. Wieść o odkryciu tajemnicy jego pochodzenia, piorunem rozbiegła się w sąsiedztwie; nikt jednak tyle jej nie uczuł, choć powszechnie zajęła wszystkich, co Dębiccy. Ci się uspokoić nie mogli: sam nie mógł się nagać o hrabi, którego miał za nauczyciela przy



dzieciach; sama łamała ręce z desperacyi, że się tak z nim obchodziła nieprzyzwoicie.

— Ale któżby się był domyślił—powtarzali oboje—taki niepozorny, tak pokorny, tak potulny! Szkoda, żeśmy o tém wprzód nie wiedzieli, byłoby się nam to przydało: przez niego weszlibyśmy w świat, poznali z sąsiedztwem, a tak—gniewać się musi śmiertelnie!...

Wacław się przecię nie gniewał wcale, bo nawet nie myślał, że są Dębiccy na świecie. Uzupełniwszy dowody swój rodowitości i przez kogoś następczonego od ks. Warela prawnie w Żytkowie swe nowe położenie uregulowawszy, pewien już, że mu nikt zaprzeczyć nie może imienia ojca i czci nieszczęśliwej matki: nie spieszył się z dopominaniem o majątek. Tak mu dobrze było chorować w Wulce z Franią, ze starym Kurdeszem, z ks. Warelem i kilką pocziwemi sąsiadami, co ich odwiedzali! Za drzwi nawet dziedzińca niebardzo się kwapił; wstrzymywano go téż serdecznie jak tylko umiano, po staroświecku, targując się o tygodnie, o dnie i godziny do upadłego.

Hrabia także do zdrowia powoli przychodził, ale ozdrowienie jego było raczej przemianą choroby ciężkiej, ostrój, w lżejszą a chroniczną: kaszel, bezsilność, drażliwość, smutek zostały mu w spuściznie. Spędzał czas na przechadzce po pokoju, na leżeniu w fotelu, i tylko dla Farureja przenoszono go czasem w lektycę z oficyny do pałacu.

Farurej coraz był gorętszy. Cesia zdawała się ostygąć dla niego; nie cofała się jeszcze, ale tak była smutną, pogrążoną, zamyśloną, jakby dopiero teraz przeglądać zaczęła w zgotowanej sobie przyszłości. Wacław, który się od niej odsunął, droższym był dla niej teraz niż kiedy; dumiała o nim, pragnęła go pociągnąć, wymyślała środki, łamała głowę i gniewała się na niego i na siebie. Farurej tymczasem urzędowie się oświadczył, został przyjęty, ale gdy przyszło naznaczyć czas wesela, Cesia tak zwlekała, tak odkładała pod różnemi pozorami, tak mu się wymawiała, że musiano zgodzić się na przeciągnięcie terminu do roku prawie.

Sylwan, którego hrabia naglił, ażeby jechał do Wulki, odkładał także, nie smakując wcale w tym sposobie wypraszania się od wypłaty długu. Smutno było w Denderowie; hrabia i hrabina od niejakiego czasu nie mówili do siebie, tylko z przekąsami lub szyderstwem, a najczęściej ledwie się przywitawszy milczeli. Sylwan rzadko kiedy usta otworzył, Cesią wchodziła do salonu i wychodziła obojętna, grała tylko zajadle na fortepianie i dalekie piesze odbywała przechadzki.

Smoliński odprawił się, przenosząc na dzierżawę, która być miała tylko stopniem przejścia do dziedzictwa. Po wszystkich kątach czuć było pustkę i blizki upadek; mury nawet jakby to przeczuwały, poczynają się rysować i pękać zawczasu.

Pomimo tego smutku powszedniego, gdy goście przybyli, gdy sąsiad zawitał, wszyscy przybierali na przyjęcie jego pożyczane twarze, chwilową wesołość, żywość i śmiech potrzebny, by się pokazać ludźmi wyższymi nad los i doskonale pewnemi, że ich żadna nie dosięże katastrofa. Hrabia swą bladość i kaszel pokry-

wał rumieńcem zniechęcenia i śmiechem, hrabina wdziękowała się do niego najczulej, Cesia prześladowana Farurejem, dumnie przyjinowała przekąsy, a Sylwan perorował o kolejach demokracji, jak gdyby w istocie w nią wierzył i żądał jej. Niekiedy nawet spór z ojcem odnawiał się z całą dawną świetnością argumentów, stawali przeciw sobie szermierze: jeden jako filozoficzny reformator społeczności, drugi jako przedstawiciel starego świata. Walczyli żwawo, okazywali zręczność i siłę, a nikt niktogo nie ranił.

A potem, potem i ci co te sceny grali, i ci co ich słuchali, rozszedłszy się ruszali ramionami. uśmiecchali do siebie. a w Denderowie wszystko wracało do znużenia, milczenia i snutku.

Hrabia niepomnału myśleć musiał, co oddać Wacławowi; przyznanie go pociągało za sobą niechybny rozdział majątku, a największa była trudność w tém, jak podzielić bankę mydlaną, którą dość dotknąć, by prysła.

Odwlekał od dnia do dnia, od jutra do jutra, a że Wacław o nic się nie dopominał i nie obiecywał być ciężkim w interesie: codzieli w myśli

zmniejszał hrabia schedę, i przyszło do tego, że mu jedną z najgorszych wiosek odłużoną w banku, przyległą Wulce, postanowił wydzielić, oceniając w najdziwniejszy sposób.

Wacław w milczeniu przyjął co mu dano i pokwitował ze wszystkiego. Wielki ciężar spadł z bark hrabiemu, który tak był rad, że na chwilę pożałował iż mniej jeszcze nie wydzielił, a wyżej nie oszacował. Wstyd mu wprowadzić było tego uczynku przed własnymi dziećmi, a gorzej przed obcemi, którzy mizerny ten udział widzieli i zrozumieli; ale interes własny zagłuszył głos sumienia, a sądy ludzkie nie dochodziły do hrabiego.

Wacław już się więc miał dokąd przenieść, miał dom własny, swój kątek na ziemi i chleb nie proszony. Jakże był z tego szczęśliwy! Zdawało mu się, że najłatwiej na tém małym poprzestać, nie żądał więcćj i zarzekał się, że nigdy nie zechce. Trafem więc Palnik wyznaczona mu, była niegdyś za życia dziada obroną chwilowo przez ojca jego mieszkaniem; zastał w niej jeszcze choć zatarte ślady pobytu

Henryka, a to mu ją dziesięćkroć milszą i droższą czyniło jeszcze.

Palnik jak wiele wiosek wołyńskich czepiał się na wzgórzach, pokrytych gajem dębowym, brzozowym i osikowym: wdzięczny był widok na wioskę i ze wsi, u której stóp po zielonęj wijącej się wśród wzgórzów łące, przebiegała niebieska rzeczulka, błyskając gdzieniegdzie z pośrodku trzećin zwierciadełkiem swęj wody. W dali widać było kilka wiosek rozsypanych w dolinach i po wzgórzach, laski i pasieki jakby umyślnie dla ozdoby krajobrazu pozostawiane, i pasma dalekie borów poleskich od strony Smolewa. Dwór oddawna opuszczony, bo w nim tylko ekonom mieszkał, stał na pochyłości wzgórza, otoczony zarosłym ogródkiem. Znać było, że starą tę budowę przed laty kilkudziesięcią ktoś już nieco przerabiał: domurowano do nięj parę porządniejszych pokoików, otoczono drzewami, a te dziś podrosłe tworzyły cień, puszczając gdzieniegdzie między gałęzmi oko na sioła, łąkę i rzeczulkę. Ustron ta tak przystała do serca Wacławowi, tak ją odrazu pokochał, tak mu miło było żyć, gdzie żył

lat kilka nieznany mu ojciec, iżby ją na Denderów nie zamieniał. Sąsiedztwo Wulki dodawało jeszcze wartości Palnikowi; a i Smolewa wieżyczka na widnokręgu czerniała.

Prędko oczyszczono dla niego domek, przygotowano wszystko do zamieszkania; i choć jeszcze osłabiony, postanowił opuścić rotmistrza, prosząc tylko, by go na nową siedzibę przeprowadził, i starą a pocziwą ręką strzechę pobłogosławił.

Z Wulki tak było blisko do Palnika, że domki patrzyły na siebie; przejść tylko wąwozem ociemionym krzakami róż dzikich, białego głogu, tarniny i bzów, i kawałkiem wioski, i stałeś w dziedzińcu sąsiada. Cieszyło to niezmiernie Brzozosię, że się tak wszystko doskonale jakoś składało, że pan Wacław nie oddalał się; zmuszona wyrzec się pierwszego swojego projektu, przy drugim trzymała się uparcie, przypuścić nie mogąc, by ją i to zawiodło.

Z doświadczenia, jakiego nabyła teraz, nie wyrywała się już ani mówić z Franią, ani rozwódzić nad swemi projektami; milczała, choć się za język gryzła, a cieszyła się, że ludzie



i losy zdawały się sprzyjać wyrokom niechybnej kabały.

O już co teraz to nie chybi! — mówiła do siebie, spoglądając ukośnie na Franię i Wacława siedzących w ganku.—Frانيا widocznie ma do niego słabość; bawi go nibyto, że chory, a on tak chory jak i ja... Ojciec zdaje się za ten... no! i ja także! Kabała niedarmo wskazywała na Denderę; jeszcze tak blisko mieszkać będzie: niechybnie się pobiorą... albow ja ze wszystkiém głupia. Tamten jak sobie chce, tamto paniczekowate, Bóg z nim, chciał się pobawić, nie żenić; ale to uczciwy człowiek, bardzo uczciwy człowiek! dwa razy mnie w rękę pocałował, gdy mu dawała lipowy kwiat, i grzeczny... zawsze mnie po tytule nazywa.

Właśnie na to nruczenie nadszedł stary Kurdesz, i Brzozosia postanowiła go trochę wybać, zaczynając z ręcznie od pogody.

— Otóż — odczuwała się, pokaszłując dla zwrócenia uwagi na siebie — będzie można naszego chorego przenieść do Palnika; śliczny dzień.



— A czego się to spieszyć?—rzekł stary.— Jeszcze tam nieład; może i jeść nie znajdzie czego.

— Już to prawda! A w dodatku on taki nie gospodarz, żadnej kobiety w domu nie ma, sam mężczyzna rady sobie dać nie może.

— Prawda to Brzozosiu, ale za to cicho mu będzie i spokojnie.

— I nudno, panie rotmistrzu! — dokończyła Brzozosia.— Jużto nie chwalebę się, ale bez nas zawsze klasztor. Tylko że to młode a poczciwe, pewnie się prędko ożeni.

— Z czegoż to tak wnosicie? — spytał rotmistrz.

— Zwyczajnie, młody i przystojny, familiant. ma trochę grosza: czyto on sobie nie znajdzie takiej, co za niego pójsć zechce?

— Ale ba! a czy on się żenić zażąda, to kwestya, panno ciwunówno!—śmiejąc się rzekł stary wojak.

— Zdaje mi się, że nie od tego — odparła Brzozosia, uważném wejrzeniem mierząc gospodarza.— Nie mówiąc i nie myśląc nic złego, ale i z Franią całemi godzinami siedzieć gotowi.

Rotmistrz udał, że nie dosłyszał; zawołał w téj chwili na parobka, który konie prowadził:— A nie dawaj tak pić jednym ciągiem! przerywaj! A siwkę tam wystrzygłś?

— Zdaje mi się — nalegając powoli dodała Brzozosia — że i Frania na niego patrzy bardzo miłosierném okiem.

— Coto za zabudżko z tego Hryčka — powtórzył rotmistrz, nie chcąc usłyszeć co mu szeptano i wygadywać się przed Brzozosią.

— A wy jak inyślicie, panie rotmistrzu? — wystrzeliła panna ciwunówna.

— Co? kochana Brzozosin! — śmiejąc się fluternie i podając jój tabaki, rzekł rotmistrz — o czém? o Hryčku?

— Jak gdyby nie nie słyszeli co mówiłam.

— Albożecie co o kim mówili?

— E! nie udawalibyście głuchego. Mnie się zdaje, że się tu coś święci, i wyświęci lepiej niżeli pierwszą razą.

— W Bożej to mocy! w bożej mocy! — szeptał rotmistrz — a mnie czas pacierze mówić. Przepraszam... *In nomine Patris...*

Panna Brzozowska odejść musiała i poszła do Frani. Frania siedziała w pokoiku bawialnym, a Wacław nieco opodał za stołem czytał jej coś Kniaźnina. Słuchała i pojąc się harmonią wiersza i myśli nowych dla siebie, zdawała się w jakimś pół-śnie czarownym zatopiona; ze zwieszoną główką, z założonemi rękoma, patrzyła na czytelnika, dumając, nie wiem, o nim, czy o poecie?

Na widok Brzozosi, jakby ocucona. wzięła się Frania do roboty, i wesoło pocichu odezwiała się:

— Siadajno, siadaj i posłuchaj jakie to piękne!

Posłuszną ciwunówna usiadła, ale nie wytrzymała i odpowiedziała:

— Piękne! bo pan Wacław czyta!

Frانيا się zarumieniła, z wyrzutem spojrzała na nią, a Wacław słysząc ich szepty, prędko skończył czytanie, zamknął książkę, wstał i zapowiedział, że musi odejść do Palnika.

— Jakto? dziś? — spytała żywo Frania — o! nic z tego nie będzie, my pana nie puścimy! Ojciec na to nie pozwoli. Jakże można, słabe-

mu jeszcze chcieć uciekać tam, gdzie żywój duszy nie ma.

— Dziękuję pani, to dawny projekt; siedzę tu już tak długo.

— To panu się tak zdaje — przerwała Frania. — A pamiętasz pan, że i ksiądz Warel i doktor Szware zabronili panu, do zupełnego wyzdrowienia, myśleć nawet o domu.

— Ależ ja jestem całkiem zdrow! — rzekł Wacław.

— Brzozosiu! świadczę się tobą, czy to można nazwać zdrowiem? Naprzód pan pokaszlujesz, jesteś blady, mizerny.

— Panu jeszcze widocznie potrzeba pic ziółka nasze—głośno zachluczała ciwunówna—trzeba się dozwolić pielegnować i nudzić. Idę z ganku od rotmistrza, i on tego samego zdania; siła złego kilku na jednego: trzeba się poddać.

Wacław uśmiechnął się wdzięcznie, dziękując.

— Ależ doprawdy—rzekł—ja tu tak zawadzam.

— Któżto tak mówi, czego nawet nie myśli—przerwała urażona Frania rumieniąc się cała—albożto pan nie widzisz jak nam tu z nim

dobrze? Pan nas bawisz, uczysz, czytasz nam... jeszcze zamiast przyjąć podziękowania, udajesz, że się czujesz natrętnym.

O! jak ona to ślicznie powiedziała — w duchu zawołała Brzozosia—jak z książki. No! no! poczekawszy, gotowa wiersze pisać!!

— Dziękuję pani za te wyrazy przychylnie, do których jeszcze nie przywykłem w życiu—odpowiedział Wacław.—Ale doprawdy, czy się to godzi, żebym tak waszój gościnności nadużywał: ludzie tak są źli...

— A cóż nam do ludzi?—spytała Frania.

— Jużciż pan Wacław ma racją—odpowiedziała Brzozosia. — Mogliby gadać, ale pan byłś chory...

Frania udała, że się zajęła robótką, ale spojrzała na Wacława z taką prośbą i wyrzutem razem, iż zamilkł i w miejscu pozostał. Brzozosia tymczasem dobyła z szufladki stare karty, i poglądając na nich, zajęła się kabałą. Oni zbliżyli się do siebie i szepotali.

W téj cichój rozmowie, która płynęła jak strumyk po czystém dnie piasku, Wacław mimowolnie porównywał Cesię z Franią, i wi-

dział w niej nieznane tamtęj przymioty: łagodność, dobroć, prostotę. Może tych cnót nie byłoby mu dosyć, ale czarodziejskie oczy, świeża a pełna wyrazu twarzyczka, dźwięk głosu prześliczny, i coś uroczego w całej postaci. Uosabiały je tak anielsko! Jakże różną, jak piękniejszą wydała mu się ta śliczna dziewczeczka, dziecię słomianej strzechy, od wymuskanej córki pałacu, której ulubioną zabawką, igraszką codzienną, było znęcanie się, dręczenie, sprzeciwianie, szyderstwo! Przecież pociągało go jeszcze ku tamtęj wspomnienie, coś niewytłumaczonego, co jak przepaść nęci; tu się czuł spokojnym, szczęśliwym w pełni życia, a myślał biegł po udręczenie do tamtęj jeszcze. Było już ostatek niedogasłej a stłumionej namiętności.

Frania... Frania puściła wodze swojemu sercu, które raz pierwszy przemówiło w niej, i powiedziała sobie: — Ojciec pozwoli, bo ja go kocham... Ale możeż on kochać prostą wieśniaczkę?...

I nieraz smutne ogarniały ją myśli, i pytała kwiatków, pajaków, muszek, wróżb wszelkich, a serce odpowiadało za kwiaty i stwo-

zenia. Czemużby cię nie kochał? czyż nie kochając, takinby patrzył wzrokiem? tak miłemi kołysał słowy, tak posłusznie kierować ci się dawał?

Wyszedł Wacław po chwili, a Brzozosia ścignawszy go oczyma do drzwi, rozśmiała się zci-cha i przysuwając do Frani z kartami, spytała:

— A co serce? gdyby ci kazali teraz pójść za kogo innego nie za niego, coabyś powiedziała?

Wychowanka spuściła oczy: tak trudno jój było skłamać.

— Moja Brzozosiu—wyjąknęła niewyraźnie —czy ja wiem?

— Ot! przyznaj się lepiej: wy się kochacie, a nawet nie spytawszy jegoiności o pozwolenie?

Zmilczała Frania, ale milczenie jój wymowniejsze było od odpowiedzi.

— O! innie nie oszukać — ciągnęła dalej Brzozosia—ja widzę, że tu już coś jest, kochacie się... Ale cóżto złego: uczciwy, i dobry, i biédny chłopiec...

— O! prawda! taki biédny! — naiwnie odezwiała się Frania.

— I dobry, i ładny...

Frania zainilkła, spuściła oczy na robotę:

— Moja Brzozosiu, czybyto on mnie zechciał?

Na te słowa ciwunówna porwała się z krzesła, wzięła w boki.

— Słyszałam! — krzyknęła — a któżbyto śmiał odinówić takiego szczęścia! Cóżto tobie braknie? Młodość, uroda, pieniądze, imię szlacheckie a poczeiwe...

— Moja Brzozosiu, ale patrz jak my z innego świata: on taki rozumny, uczony, a ja...

— Albożto ty na kobietę mało umiesz — spytała ciwunówna — proszę mi znowu nie ujmować, wychowałam cię jak potrzeba! Rada-bym widzieć ktoby cię nie zechciał! Ba! albowto ja ślepa i z oczów mu nie widzę w co on gra! Cha! cha! I jakby sam Pan Bóg kartował, dali mu Palnik, tuż przy Wulce, bok z bokiem, jak jedno, jak naumyslnie...

Mówiły tak, a Wacław wchodził do swojej izdebki, gdy tętent koni i huk zajeżdżającego powozu dał się słyszeć.



Obie pobiegły do okna: po koniach, po powozie, zaprzęgu, poznały Sylwana i stanęły jak wryte.

— W Imię Ojca i Syna, i ten tu jeszcze! — śmiejąc się szydersko szepnęła Brzozosia — patrzajcie, chłopcy za nią poszaleli... Otóżto to lubię... ale nie dla psa kiełbasa, nie dla kota sadło—dodała pocichuteńku.

Ale Frania jakby przeciwnego była zdania: zabrała spieszenie robotę i pobiegła schować się do swego pokoiku.

Rotmistrz przyjął Sylwana w ganku ze zwykłą uniżonością: pokłonił mu się do kolan prawie, i otwierając drzwi, wprowadził dość kwaśnie hrabiątko, do bawialnego pokoju.

Rozmowa naciągana z różnych stron, jakoś rozpocząć się nie mogła. Sylwan bąkał rozparty w krześle o deszczu i polowaniu, patrzył po suficie, mieszał się, oglądał.

— Gdzież panna Franciszka?—spytał wreszcie.

— W swojej izdebce—rzekł szlachcic — ale darujesz mi JW. hrabia—dodał zaraz —jeśli to dawne projekta: wszak już wiem od szanownego ojca, że z tego nic być nie może.

Sylwan z widocznym wstrętem i przyinusem przerwał staremu:

— Ojciec mój przekonany przeżemnie, zgodzi się na wszystko, co szczęście moje stanowić może.

Starzec zdumiał się trochę, zamilkł, zastanowił.

— W istocie?—spytał.

— Tak jest, tak jest!—szybko kończył Sylwan—możecie go spytać sami.

— Wielki to zaiste honor dla mnie i mojego dziecka—kłaniając się odparł Kurdesz—a zatem nie już nie mam do odpowiedzenia, i owszem najgłębsze składam dzięki... ale....

Sylwan, który się już żadnego *ale* nie spodziewał, ogromne i gniewne zrobił oczy na starca, a ten kończył poważnie:

— Ale to wszystko teraz od córki mojej zależć będzie.

Zagryzł usta gość, zapalił cygaro i odwrócił rozinowę.

Po chwili weszła Brzozosia bardzo krochmalna i najeżona, a za nią Frania, którą Sylwan znalazł zmienioną, poważniejszą, oboję-

tniejszą, prawie pogardliwą. Zasiadły na kanapie, Sylwan zaraz się ku nim obrócił.

Widok ładnej dziewczki, chęć zwyciężenia doznanych tu przeszkód i przykrości, wywołały choć niebardzo szczerą wesołość. Stałość, jak sądził, winna mu była zjednać względy panny, zresztą pojąć nie mógł, jak nim! nim! wzgardzićby można, jakby go ze stu nie wybrać!

Począł więc zaraz ze swoją zwykłą zarozumiałością prawić jój najniedorzeczniejsze komplementa.

Ale jakżc się dziko wydał wiejskiej dziewczynie po Wacławie: nic w nim dla nićj nie było wdzięczném i podziwu godném, lękała go się raczej i wstręt czuła bardziej niż skłonność. Sylwan wedle swych wyobrażeń zniżać się musiał, by być dla nićj zrozumiałym, ona go przecie pojąć nie mogła; nie było myśli, na którejby się spotkali, tak ogromne dzieliły ich przeszerzenie. Wacław był sercem cały, ten cały głową i chłodem; w tym żyła dusza silna, tu rozbudzone tylko zmysły. Przytém było w nim tak coś przesadnego, tak nienaturalnego, tak niepoiniarkowanie szyderskiego; rozmowa jego

tak wyłącznie żywiła się bliźnim, tak była mięsożerna, jeśli powiedzieć wolno: że Frania z biciem serca, z obawą, czekała tylko jej końca.

Wśród téj rozmowy, Wacław o którego po-  
bycie w Wulce nie wiedział Sylwan, (bo cóż go  
obchodził stryjeczny?) nagle ukazał się we  
drzwiach, a przybycie jego zdziwiwszy, zbiło  
i zmieszało hrabiego. Piérwszy to raz od owego  
uznania spotykali się z sobą. Przyszłość i obcho-  
dzenie się wzgardliwe Sylwana z Wacławem.  
nie mogły być jeszcze zapomniane; dziś zmienił  
się ich towarzyski stosunek, uczucia pozostały  
czém były: powierzchownie jednak braćmi ka-  
zała się uważać przyzwoitość.

Z uśmiechem spojrział na gościa Wacław.  
Sylwan na niego z gniewem, jakby na natręta:  
przywitali się zimno.

— Brat pański uczynił nam ten zaszczyt—  
odezwał się rotmistrz — i przyjął na czas jakiś  
gościnę w domku naszym... był chory.

— Był chory!—powtórzył Sylwan.

— A czemuż nie przybył do Denderowa?—  
zapytał po chwili ciszej.

— Dziękuję ci; byłbym zawadą: wiem, że hrabia chorował także.

— Tak, teraz już jest nieco lepiej.

Sylwan zminieszanym niespodzianém spotkaniem, stracił wesołość nagle i przeczucie nowego upokorzenia napoiło go żółcią; widział się znowu niepotrzebnie wystawionym na odmowę, zniżonym nadarmo; pewien był, że Wacław, który od nich tyle wycierpiał, musiał też rotmistrzowi czarno cały Denderów odmalować, choć w istocie tak nie było. Sylwan nie byłby uwierzył choćby mu przysięgano; tak z siebie sądząc, niepodobieństwem sądził wstrzymanie się od łatwój zemsty. Zwarzony temi myślami spojrzał na zegarek, przemówił coś do Frani, która właśnie w myśli ich obu porównywała, zabawił chwilkę zakłopotany widocznie, i poprzy sięgając sobie w duchu raz setny, że noga jego w Wulce nie postanie. pożegnał zatrzymujących go grzecznie, siadł do powozu i uciekł.

Nie potrafimy odmalować, co się w sercu jego działo: byłoto uczucie tak przykre, jak gniew bezsilny, jak upodlenie odepchnięte, jak boleść pysznego, którego zepchnięto z podstawy; coś

na drobną skalę nakształt uczucia szatana, w chwili, gdy ręka Boża rzuciła go w otchłań bezdenną. Po półgodzinnój drodze, podniósł przecie czoło zmarszczone:

— Co mi tam!—zawołał—co mi tam, co mnie to obchodzić może: ojciec niech o sobie myśli! Ja łatwo świetną partyę znaleźć mogę? Lecz któżby przewidział, że tam zastanę Wacława!

Tak naprzemiany to gryząc się, to pocieszając, cały zburzony powrócił do Denderowa i wprost udał się do ojca.

Sinoliński usuwał się właśnie z rachunkami, które zdawał jeszcze, a rachunki te przykre na starym hrabi robiły wrażenie, widoczne w twarzy drgającej gniewem i wzruszeniem, gdy Sylwan wszedł a raczej wpadł jak burza: nasępiony, chmurny, obejrzał się i z passyą zawołał:

— Ślicznie wyszedł znowu: niech ich diabli porwą.

— Cóż się stało! co się stało!—niespokojnie podchwycił ojciec.

— Zastałem tam już podobno od kilku tygodni chorującego Wacława.

Zamilkli. Więcej nie potrzeba było staremu; zagryzł wargi i rzucił się na kanapę.

— Jużciż — rzekł po chwili — gdyby szło o wybór...

— Nie tu moje miejsce — obruszył się Sylwan — ocenić mnie na tej parafii ani mogą, ani potrafią; to myśl dzika! Mam postanowienie nie zachwiane: zrobisz sobie hrabio z tym szlachcicem co ci się podoba; ja jadę do wód Druskieńskich, do Buska, na Litwę, na Podole, na Ukrainę, do Warszawy: znajdę gdzieś bogatą dziedziczkę i ożenię się.

— Żeń się, żeń, i owszem — uśmiechając się boleśnie odparł ojciec — byle ci się udało: błogosławię; ale dotąd nie możesz powiedzieć, żeby ci bardzo los sprzyjał.

— Bom go też nie próbował — odrzekł kwaśno Sylwan — Jutro w drogę ruszam.

— Więc tu ani chcesz spróbować?

— Nie, nie, dosyć już tego: wstręt mam od nich, brzydzę się tą pleśnią, mam jój póty — wykrzyknął z gestem znaczącym.

Ojciec zamilkł, usiadł w krześle, dumiał; wtém weszła Cesia.

I ona była niecierpliwa, smutna, kwaśna od niejakiego czasu; nie spodziewała się wcale, że po nową przykrość spieszyła do ojcowskiego łóża.

— Jakże się papa ma dzisiaj? A ty Sylwanie?

— Ja, jak zawsze—dodał Sylwan.

— Wracasz z sąsiedztwa?

— Nie pytaj mnie zkąd?

— Nie potrzebuje pytać: byłeś naturalnie w Wulce; cały świat mówi o twoich dziwnych amorach...

— Amorach! dajcie mi pokój! Jest tam ktoś co mnie podobno uprzedził.

— Cha! cha! — zawołała Cesia — i Sylwan zwyciężony, zapewne przez jakiegoś kapotowego szlachcica!

— O przepraszam: lepiej, bo przez Wacława.

Cesi twarz zmieniła się nagle jakby ją co za serce ścisnęło: pobiegała, zmieszała się widocznie; lecz wracając zaraz do zwykłego panowania nad sobą, dodała:

— Można się było tego spodziewać: to partya tak dla niego stosowna!—I milcząca poczęła chodzić po pokoju podśpiewując.



Ani ojca, ani brata oczu nie uszło jednak zmieszanie Cesi i j  j bole  c, szybko st  lmona pozorem obo  tno  ci; oba wszak  z udali,   e si   nie nie domy  laj  . Jak b  yskawic   mign  ł staremu domys   przez g  ow  : ale go zniszczy   wspomnienie,   e Wa  law r  k   Cesi odepchn  ł. Sylwan, kt  ry podobno od ojca wi  cej wiedzia   czy si   domy  la  , u  miechn  ł si   do siebie.

Nadchodz  ca hrabina przerwa  a do  c ju   k  opotliwe wszystkie ni  czenie.

---

W kilka dni po wypadkach, któreśmy opisali, hrabia wyszedł o lasce ze swoich pokojów do pałacu z powodu przybycia Farureja. Oprócz niego było kilku sąsiadów: Cieleccewicz ze swemni perory głośnieni, rotmistrz Powala i niejaki pan Maurycy Hołobok, figura problematyczna, świeżo ze stolicy, od niejakiego czasu z domu do domu włączająca się po sąsiedztwie.

Byłto z powołania literat, niecziniernie miszą swoją nadęty, niesłychanie pewien, że był mocarzem, stąpający jakby nim ciągle miotało natchnienie, decydujący o wszystkiém z góry, rozprawiający najczęściej o stolicy, z której wprost zjechać raczył; wspominający co chwila

imiona magnatów, których się tytułów wyuczył w litografii na wizytowych kartach, oryginalnie nicoszacowany, próżniak, frant, wykpi-grosz i głupiec jakich rzadko.

Znieporównaną naiwnością rozповідаł wszystkim w ogóle, że zjechał na prowincję dla obudzenia w niej życia. Środkiem ku temu było pismo jakieś, mające się gdzieś i kiedyś wydawać, a prenumerata na nie narzucana w imię dobrej literatury, uważała się za symptomat tego życia.

Pan Maurycy Hołobok (herbu tegoż nazwiska), wywodził się z bardzo jakiejś znacznej rodziny, i nie mało pysznił prozapią swoją, choć jego tatulo był ekonomem tylko. Dużo się podobno nakręcił po świecie, nim się zdecydował zostać literatem. Probował różnego chleba: sprzedawał w sklepie, guwernerował, spekulował, aż nareszcie że czytać umiał i pisał niewyrażnie. uczuł się usposobionym do literatury. Na literata, pytam się. czego dziś potrzeba? umieć trochę czytać i jako-tako gryzmolić, zresztą byle śmiałość, czoło, byle trochę odwagi porwać się wysoko, zaczepić, zaszumić, zakrzy-

czée: więcej nie wymagają. *Usus te plura docebit.*

Nie mogąc pisać, bo utworzyć nic nie był w stanie, nasz pseudo-literat postanowił tłumaczyć, kraść i cudze wydawać. Kilka próbek przekładów dokonanych bez znajomości języka, wydrukowanych niepotrzebnie, tak go już postawiły na nogach, że kazał odbić portret swój royal-folio w postaci głęboko zadumanego pracownika nad ksiąg stosem, z fac-similą i datą urodzenia. I poszedł dalej: począł prawić o swęj misysi literackiej, drukować lichoty, narzucać je wszystkim, marszczyć czoło i grać rolę wielkiego człowieka.

Zarozumiałość posunięta do szaleństwa i obłąkania prawie, stanowiła cechę wybitną tego ciekawego typu. Dość było spojrzeć na niego, by się przekonać, jak wysoko się cenił: siedł z szacunkiem dla nóg swoich, zawsze zamyśleniem brzemienny, wiecznie pełen admiracyi dla cudzych myśli, które z prestigiatorską zręcznością na swoje przerabiał i puszczał za swoje. Wszystkim mniemał się równym i traktował cały Boży świat na stopie równości lub niż-

szości, bo wyższych nad siebie dojrzyć nie mógł. Jestto zwykłe stanowisko zakamieniałej głupoty.

Trafiło mu się mówić naprzykład:

— Ja i minister jeździliśmy... Lub:

— Ja i Goëthe zarówno lubimy...

Wyszedł ze szkół nic prawie się nie nauczył; zły francuzczyzny trochę liznał na świecie, zresztą nie czytając nic, nic nie lubiąc namiętnie prócz wygod życia i zbytku, którego pragnął, literaturę mając tylko za narzędzie: pracował nad utworzeniem sobie aureoli, spodziewając się z aureolą ożenić bogato i chapnąć majątek, na który nie pracował: *hoc erat in votis!!*

Wziął się tedy do kucia swój korony i wynoszenia swego pisnia, bo ono miało być jego życiem! Niestety! kończyło się wszystko na zbieraniu trochy grosza i traceniu go na hulance; ale w ustach pana Maurycego, który się wyuczył jak papuga systemu literackiego powołania swego, przepysznie świetniały powody i cele!!

Nie umiejąc języka, pracował dla języka; nie będąc pisarzem, poświęcał się dla literatury:

nie mając grosza, był wydawcą; nie mając talentu, pożyczał go u drugich i na swój przerabiał: słowem, było to wielki człowiek! A jak swą wielkość nosił dostojnie!!

W stolicy narobiwszy długów, okazawszy zbyt jasno i wyraźnie, nie czém chciał być, ale czém był: popasać dłużej nie mógł i wysunął się na prowincyą czmucie pocziwych wieśniaków, którzy święcie wierzą w słowa, a jeszcze bardziej w rzeczy drukowane. Tu postrzegł zaraz, że prowincya potrzebowała organu, jak się wyrażał: wezwał ludzi skromnych a daleko wyżej usposobionych od siebie do współprawnictwa, i obowiązał się, byleby mu dostarczano pieniędzy i artykułów, pracować nad redakcyą, to jest: układać okładki, przedmowy, noty i bilety prenumeracyjne, a zabierać dochody.

Ile razy chciał co napisać sam, chociażby notę lub przedmówkę, myśli sobie gdzieś pożyczał, rozwałkował ją i podlał swoją zarozumiałością, osolił konceptem wykradzionym, i potrawa była gotowa.

Jednym słowem było Don Kiszot literacki.

Literat ten wszedł na salon poważnie i raźnie, wypowiedział kilka słów francuzkich, które umiał, począł się śmiać i podrygiwać udając salonowicza, jak zły aktor na wiejskim teatrze, i natychmiast z wielką admiracją Cieleńcewicza przemówił z trójnoga o swojej missyi wydawcy! Nie przeszkadzało mu to jednak słodko oczu zawracać do hrabinéj i do Cesi. Niestety, aureola jego zbyt małym jeszcze świeciła blaskiem, i kobiety więcej spoglądały na lakierowane jego bóty, niż na promienne czoło.

— Przyjechałem z powinszowaniem, — odezwał się po chwili.

— Komu i czego? — spytała Cesia.

— Wszystkim państwu, téj tak niespodzianéj, olbrzymiejsz sukcesyi, o której w téj chwili wszędzie mowa....

— Sukcesyi! — pochwycił hrabia łakomicznaną! ale my o tém nic nie wiemy!

— Jakto? miałbym być pierwszym zwiastunem téj wieści złocistej?

— Ale cóż to jest? co to jest, proszę pana. któż to panu mówił? Co to za spadek? po kim? gdzie? — zawołali otaczając go wszyscy ra-

zem. — I zgiełk się zrobił w salonie, bo co to wieść o sukcesyji, o skarbach, na które się nie pracowało!

— Wszakże, jeśli hrabia Dendera żonaty był w Paryżu z córką bankiera Petit, zapewne ojciec pański (obrócił się do starego), to na pana hrabiego spada po bezdzietnym synu jego tych kilka milionów franków, te domy i....

Hrabia upadł na krzesło, Sylwan do krwi zaciął usta, a Cesia pobladła, wzrok gnicwny rzucając na Farureja; hrabina z energią obwinęła się szczerlnie w mantylkę, jakby jęj się zrobiło zimno.

— A! to spadek na mojego synowca—wybąknął hrabia z wruszeniem widoczném, ale udając obojętność — nie na nas! — I westchnął tylko.

— Synowca! — zawołał literat! — Któżto jest? gdzie mieszka? Nie mam szczęścia go znać.

Ale nikt odpowiedzieć nie spieszył, i kawaler nasz postrzegł, że tylko zazdrość przyniósł do tego domu i żale. Na Cesi najwidoczniejsze było wrażenie tej wieści, bo coraz oczki ogniste topiła w bladej Farureja twarzy,



z wyrzutem i gniewem. Głuche, długie milczenie padło jak ciężar niepodźwigniony na wszystkich. Cieleńcewicz tylko i literat mówili z sobą o swoich marzeniach; a pan Maurycy silnie go namawiał, ażeby rzucił myśli swe na papier, upewniając, że je zaraz wydrukuje. Cieleńcewicz wypłacając się jak mógł za to ochoćne oświadczenie, z uniesieniem znowu kadził inniemanym teoryom sztuki i pomysłom literata, które Hołobok żywcem z pism peryodycznych stolicy pożyczwszy, wykładał.

Oba podkadzali sobie wzajemnie z najczulszą troskliwością o dobór zapachów. Na nieszczęście brakło im słuchaczów, bo wszystkich gniótł ten niespodziany, bajeczny, amerykański spadek na Wacława!!

— Szczęśliwy! — powtarzał hrabia z cytrynowym uśmiechem, — szczęśliwy!

— O! teraz — szepnął Sylwan — ręczę, że porzuci Wulkę i pannę Franciszkę!

— Nie rozumiem, — przerwała Cesia, — co to tak wielkiego.... Spadło na niego, bardzo dobrze: niech się cieszy, nie ma co i mówić o tém.

Alc całe towarzystwo było sparaliżowane nowiną, a Farurej widząc Cesię w okropnym, spazmatycznym, szczypiącym humorze, przynawiającą już jego tupetowi, dopytującą o adres pana Fattet dentysty, czego się dotąd nie dopuszczała nigdy — nieukontentowany, gniewny na bok się usunął.

Literat tymczasem troskliwie dopytywał Ciełcewicz o Wacława, nie wątpiąc, że tak kalifornijsko zbogacony człowiek, weźmie przynajmniej pięćdziesiąt biletów na jego Trzytygodnik i Dwumiesięcznik, zechce wystąpić jako mecenas, otworzy worek i dopomoże silnie do zaopatrzenia pana Maurycego w lakierowane bóty, rejtfraki i łańcuszki do zegarków....

Marzył on, ta dźwignia piśmiennictwa, że najmniej sto tysięcy dadzą mu na dobro literatury, a mając je rachował, że się pokaże w Żyt-kowie porządnie i jeszcze porządniej ożeni. Nie chodziło tu bowiem o Trzytygodnik, ani o Dwumiesięcznik, ani o literaturę, ale niestety! o kieszeni pana wydawcy i terazniejszą i przyszłą.

Jakoż dokładnie się dowiedziawszy zaraz o gustach, charakterze, wieku, miejscu pobytu

Wacława, a widząc, że w Denderowie nie tak go jakoś traktują jakby sobie życzył, choć mówił wiele o swych stosunkach w stolicy z mnóstwem książąt, hrabiów i baronów, starannie po innionach i ojcowiźnie ich zowiąc; wysunął się *a l'anglaise*, spiesząc na pierwszy dobry humor zbogaconego młodzieńca.

Ale nie on jeden snuł już projekta na biędnego, przed chwilą zapomnianego sierotę; otaczający wszyscy chciwie nań wytrzeszczali oczy, gdy on oślepiony, ogłuszony swém szczęściem, a tak do niego nieprzywykły, zdawał się nie pojmować jeszcze, jak nowe siły, nową władzę, znaczenie, nowe przymioty nawet zlewał nań majątek!

Któż odmaluje co się działo w sercu hrabiego, na widok swojego upadku obok podnoszenia się sieroty; Cesi, która dziś mieć mogła z nim wszystko co ceniła, a ukarana za chłód serca i przedajność, widziała z rąk sobie uciekające skarby!

Sylwan, dla którego pieniądze były nieprzewyciężonym magnesein, zaczynał rozmyślać, jakby się zbliżyć do Wacława, nie wątpiąc, że

mu obficie pożyczać będzie; a była tego potrzeba, bo Powła i Farurej już się grzecznie wymawiali.

W Wulce tylko wieść o spadku przykre zrobiła wrażenie na wszystkich; przywiózł ją ksiądz Warel, zastał rotmistrza koło stajni i szepnął na ucho wielką nowinę.

Stary pobladł, ręce załamał, stanął jak wryty, jakby go srogie dotknęło nieszczęście.

— Co to wam? — spytał ksiądz.

— Co? — rzekł stary — ostatnie najpiękniejsze, najdroższe moje nadzieje w łeb wzięły.

— Jakie nadzieje?

— A! kochany ojcze, nic bo ty nie wiesz: snuło mi się po głowie, że ich pożenię, ale wola Boża!

— Kogożto jegomość chciałeś tak żenić?

— A Franję moję z nim, bo się dosyć wzajemnie upodobali.

— No! więc cóż przeszkadza?

— Widzisz jegomość, — miliony! — a toćto bardzo dobry chłopiec, ale mu się głowa zawróci.

— A pfe! nie! nie, rotmistrzu! — odparł ksiądz Warel — wiele jest licha na świecie, ale dobrego

jeszcze więcej; zbyt czarnych o naturze ludzkiej niepotrzeba mieć wyobrażeń. Poczekaj, przekonasz się, to chłopię pobożne, pocziwe....

— Otóż mi dlatego i żal, bom go niemal jak własne dziecko ukochał.

— Ale zobaczysz rotmistrzu, że go fortuna nie zmieni: ja jestem tego pewny, nawet sobie także osnułem projekcik na niego, jak inni spekulując już.

— Co? i wy księżę proboszczu!

— Albom to ja nie człowiek i nie egoista myślicie?— zaśmiał się ksiądz wesoło.

— Ale jakieżto projekta?

— Musi mi założyć szkółkę dla dzieci i szpital dla ubogich, od tego nie ustąpię; w dodatku i kościół wyrestaurować.

— Zgoda! zgoda! zgoda! — nagle z boku odezwał się głos Wacława, który pieszo nadszedłszy z Palnika, zjawił się przy nich niespodzianie.

— A pięknie to tak podsłuchiwać?

— Przepraszam, słyszałem tylko ostatnie słowa i piszę się na to wszystko, bylebym przy-

szedł do tych obiecanych złotych gór; ale zawsze z warunkiem....

— Otoż jest! warunki!

— A jakże! należą mi się: fundatorem będę!

— No! jakież?

— Że poprawując kościółek, budując szkołkę, pozwolicie mi i probostwo nowe postawić.

— E! Bóg z tobą, bez tego by się obejść można: przybytek Boży i ubodzy to pilna, a księdzu byle kąt....

Rotmistrz, który się obawiał czy go nie podsłuchano, zakłopotany trochę przywitał Wacława, spojrzawszy mu w twarz jaśniejącą błogim spokojem, a nie namiętnem wzruszeniem. Widać było, że przyszedł podwoić swoje szczęście, dzieląc je z przyjaciółmi, i że jak uczuciem, tak teni skarby gotów się był dzielić.

Gdy się to dzieje przy stajni, Brzozosia, której furman księdza Wacława o wszystkiém powiedział, wpadła tak rozczochrana, przerażona i zbladła do izdebki Frani, że jój dech i mowę zatanowało.

Frania zerwała się od krosienek przerażona.

— Co to jest? co to jest?

— A! a! nie uwierzysz! jak Boga kocham!... dziwy!... okropności!...

— Co to ci jest Brzozosiu?

— Pan Wacław...

— Jezu! cóż mu się stało? mów!—krzyknęła Frania, wywracając krzesło i stolik i przypadając do niej blada i przerażona. — Co mu się stało? na Boga! idźmy, jedźmy!

— Ale dajcież mi odetchnąć! — Brzozosia upadła na krzesło.

— Na Boga! choć słowo, kochana Brzozosiu: nie umarł, nie skaleczył się?

— Nie! nie!... miliony! miliony!

— Jakie miliony? Co ci kochana ciwunówno?

— Spadły na niego za morzem, nie wiem gdzie, w Armeryce czy w Kalafonii! Bogaty okropnie! bogatszy od wszystkich, jak książę, jak król!... Wystaw sobie...

Frانيا pobladła, zawstydzila się swojego pierwszego przestachu, i trochę urażona spytała:

— No! i cóżto tak strasznego?

Brzozosia, bojąc się bardzo, nie śmiała wytłumaczyć.

Frania powoli zbierając kłębuszki, igły i rozrzucone roboty, nie mówiąc, wróciła do krosien, gdy ją głosy ojca, księdza Warela i czyjeś jeszcze doszły.

Podniosła główkę: Wacław stał w oknie i po dawnemu uprzejmie ją witał, z uśmiechem. z wejrzeniem, w których nic nowego, nic zmienionego nie było.

Brzozosia na widok tego zjawiska znowu krzyknęła, ale już z radości, zwycięzko, i niepokamowana rzuciła się do okna.

— Czyto prawda, panie Wacławie? (jak jego teraz nazywać?) czyto prawda, te miliony! miliony?!

— Co? kochana panno ciwunówno?

— Ale ta sukcesya! bogactwo! Jezu Maryo! to bajka chyba! Pan się nie nie cieszysz?

— A z czegożbym się tak nadzwyczajnie miał cieszyć?

Rotmistrz, który na to patrzył i słuchał tego, uspokoił się nieco, widząc jak mało wrażenia z bogactwem czyniło na Wacławie. Pozostało mu jednak nieco obawy, i czynił sobie uwagę, że pieniądze są jak trunek, który nie zaraz upaja.



Tymczasem wieczór zszedł najmiliej w towarzystwie księdza Warela i Wacława. Byłato późna jesień, ale dzień nadzwyczaj ciepły; zastawiono więc stół do podwieczorku w gan-ku, z którego dochodziły uszu odgłosy wiejskiego żywota, i owe zapachy jesieni właściwe, coto w nich czuć owoce, żniwo, chłodną rosę, liście więdnące, i późnego siana woń iniała.

Frania wkrótce odzyskała wesołość swoją, i ufna spojrzała w przyszłość; nawet Brzozosia się rozchmurzyła, oczy tylko ciągle dziwnie wytrzeszczając na nowego bogacza, jakby w nim zmiany szukała koniecznej. Rotmistrz był jakoś smutny: bo choć wierzył Wacławowi, miliej mu było oddawać córkę ze znacznym posagiem, niż magnatowi dziś szlachciankę niemałą dla niego.

---

W Denderowie zaraz po odjeździe gości wszyscy się rozpiechli; nikt tam z rodziny nie potrzebował nikogo: hrabina poszła dumać o pełniejszej swój piękności i o kimś jeszcze; Sylwan o swém przyszłym ożenieniu; hrabia gryzł się

zazdrością; Cesia roła, że Wacława siłą wspomnienia i potęgą swych wejrzeń pociągnie. Zresztą, nikt nie myślał zwierzać się drugiemu: każdy dźwigał swój ciężar, zgięty i smutny. Nie było w nich serca, nie było czucia!

Cierpieli wszyscy, cierpieli! Hrabia wyrzucał sobie swój występki jak głupstwo, miotał się widząc stracone tysiączne korzyści, któreby mu była zapewniła cnota, łajał się i żyzmał; ale po czasie, po czasie!

Sylwan i Cesia zarówno obiecywali sobie pociągnąć Wacława; ale po długim dość upływie czasu, znaku życia nie dawszy, nagle dziś odezwać się nie było podobna: byłoby to odkryć rachubę, pokazać, że nie serce ciągnęło ku niemu. Oboje nadto byli zręczni, żeby tak począć sobie nieli: należało czekać, a oczekiwanie niecierpliwiło!... Cesia codziennie bardziej brzydziła się Farurejem, i chciała z nim zerwać stanowczo: obawiała się tylko...

Taki był stan umysłów mieszkańców Denderowa, gdy się Wacław niespodzianie tu zjawił... Sylwan i Cesia spojrzeli i rzekli w duchu:

— Sam leci w sidła, tém lepiej!

Wacław uznał przyzwoitęm odwiedzić stryjaka, pewien zresztą będąc teraz najlepszego przyjęcia; przyjechał jednak po dawnemu bryczką i ubogiim zaprzęgiem, ubrany jak dawniej, i bynajmniej nie zmieniony. Bogactwo nie zawróciło mu głowy: bo w szkole nieszczęścia nauczył się ceny ludzi, ceny pieniędzy i uczuć... Czuł się silniejszym teraz, ale ta siła przypadkowa rzucona mu od losu jak jałmużna, nie wzbijała go w pychę: czuł, że to nie był nabytek pracy, ale dar trafu — wygrała na wielkiej loteryi świata, na której rzadko kto wygrywa!

Sylwan niby przypadkiem wyszedł na jego spotkanie, Cesia nie ustąpiła z okna: zobaczyła ją zdaleka. Hrabia przeszedł z nim zaraz do salonu, mając jednak tyle taktu, że go o nic nie spytał. Dopiero po pół-godzinnéj obojętnéj rozmowie, zaczęli mu winszować i dopytywać go wszyscy. Weszła i Cesia, wyświeczona, strojna zalotnym uśmiechem, z bukietem rezedry w ręku.

Wprzód nim weszła do salonu, stała chwilę na progu, z ręką na klamce, z głową spuszczoną, inysząc co począć, jak mu się pokazać?...

Inną?—zmiana byłaby nadto widoczna i szybka. Podobną jak dawniej? — lecz czy to go przyciągnąć potrafi? Będę też samą i inną. odpowiedziała sobie cicho na własne pytanie, i prawdziwie chyba by nas wszystkich los na jakieś niepowodzenie niepojęte skazał, jeśli go nie potrafię rozmarzyć... odzyskać...

Wacław był całkiem wczorajszy: nic w nim nie zdradzało zmiany położenia; z uniarkowaniem, z dawniejszą prawie bojaźliwością obchodził się z temi, od których zawsze czuł się wyższym, a dziś i wedle świata większym był i potężniejszym. Ci wszyscy mieli dla niego teraz uśmiech uprzejmy, uścisk dłoni serdeczny, słówka grzeczne, nazwania czułe. Ścisnęło mu się serce na ten dowód słabości, dzieciństwa ludzkiego! Ale gdzież jest inaczej? gdzie zubożony nagle nie postrzeże, że pieniądź nadał mu wartość nową, miejsce inne, znaczenie wyższe? Pieniądź cudzy, zapracowany przez kogo innego, i nie wiem jakim prawem przychodzący niespodziewanie, niezasłużenie, daremno?

Irabria, jakby w przeszłości nic sobie do wyrzucenia nie miał, starał się być miłym, wyra-

źnie prosił przebaczenia i zapomnienia; pokorny, cichy, uśmiechnięty, ledwie nie dobroduszny, dumę schował do kieszeni. Sylwan zniżył ton, sposób obchodzenia się zwykły: słuchał, raczył odpowiadać, pytał nawet. Hrabina z ukosa mierzyła probierczym wzrokiem tego Wacława, do którego przez długie lata nie wiem czy dwa słowa wyrzekła, prócz rozkazów i wymówek. Cesia była zbyt zręczną, żeby się z chętką gwałtowną podobania wydać miała; pojęła, że nagła zmiana byłaby złą rachubą, że jeśli co Wacława do niej pociągnąć może, to wspomnienie: wpadła więc śmiało, śmiejąc się szydersko i natarczywie naskakując przybyłego.

— A! witam pana!—zawołała nareszcie.

Wacław uklonił się milczący.

— Winszujemy! winszujemy! Ale powiedźże nam pan: ten amerykański wujaszek jest-li to rzeczywistość, czy tylko puf sąsiedzki?

— Dotąd, jeśli puf, to przynajmniej urzędowy—odpowiedział Wacław z uśmiechem.

— I ilość tego spadku aż na miliony doprawdy się liczy?

Wszyscy radzi śmiałości Cesi, słuchali, nie śmiejąc wprzód tak drobnostkowo rozpytywać go sami.

— Prawdziwie nie wiem—rzekł siérota—likwidacya nieskończona; wiem tylko, że mam ładny hotel w Paryżu, coś tam na banku (kilkadziesiąt akcyj), coś w rentach pięcio i trzyfrankowych, które dziś dobrze idą, jakąś willę na wsi, i dość papierów różnych kompanij.

— Cuda! cuda!—śmiejąc się zawołała Cesia — a pan to jakoś bierzesz tak naturalnie, zimno, jakby to nie było wcale dziwném, romansowém, przerażającém, senném...

— Ja to biorę—podchwycił Wacław—jako rzecz prawie mi obojętną; przywykłem do ubóstwa, niewiele cenię to co posiędę. Będę niezależnym, swobodnym, przydam się może komu na co: i to w tym spadku naprzód cenię. Ale i bez niego miałbym dla siebie dosyć.

— Ale nie myślisz wynieść się do Paryża?—spytał Sylwan.

— A! nie! nie! — zawołał Wacław — nad wszystko kocham to ustronie, i żyćbym bez

niego nie mógł; Francyi niecierpię, choć to ojczyzna mojej matki. Zostanę tutaj.

Obrócił się do Cesi:

— Wié pani!—rzekł—nadmierzaj mnie cieszy, że mieć będę fortepiano Erard'a, które medal otrzymało na wystawie: jest ono w mojej sukcesyi, i naprzód o przysłanie mi go napiszę. Pojnuje pani szczęście posiadania prawdziwego i najlepszego Erard'a?!

Na to naiwnie a z zapalein wyrzeczone dzieciństwo, wszyscy się rozśmiali. Cesia z politowaniem prawie na niego spojrzała.

— O! tak! tak!—dodał Wacław—z całej sukcesyi najniecierpliwiej wyglądam inego Erard'a. Muszą mi go zaraz wyprawić przez Marsylią i Odesę.

— Ale gdzież je pan w Palniku postawi?

— To najmniejsza! Postawię u siebie w sypialnym pokoju. Chwalić się niém nie myślę; lubię muzykę dla siebie, nie dla popisu: szczęśliwym, że się z nią nie będę zmuszony popisywać. Dla gości dosyć będzie obrzydliwego Knann'a, oklepanego Bösendorfera; dla siebie, w moim przybytku postawię Erard'a...



— Szczęśliwy! szczęśliwy! trzykroć i czterokroć szczęśliwy!—mruczała Cesia siadając przy nim.—Co chwila slysze szczęśliwy... widzę, żeś pan tak szczęśliwy, iż mu już zapewne nie a nie nie braknie...

— Mogęż się skarżyć, spojrzawszy na to, czém byłem wczoraj? — rzekł Wacław także ciszej.

Cesia zamilkła; ale rychło widząc ustępującego ojca i Sylwana, którzy cicho coś z sobą rozmawiając, ku gankowi ustępowali, a matkę zajętą książką, spytała Wacława:

— Prawdaż to co mówią, żeś pan przy milionach znalazł zaraz i towarzyszkę do używania ich wspólnie?

Wymówiła to szydersko, złośliwie.

— Nie wiem o czém pani mówi—zimno odparł Wacław.

— Jakto? więc piękna Frania z Wulki jeszcze z panem nie zaręczona?

— Ze mną? panna Franciszka? ledwie się znamy—rzekł trochę zmieszany Wacław.

— Proszę! a tu takie plotki roznoszą!—dodała Cesia. — Zawsze jednak broniłam pana,



i utrzymywała, że to być nie może. Pan potrzebujesz kogoś, coby go zrozumiał, pojął, ocenił — dodała z uczuciem, i szybko dokończyła kapryśnie: — komubys mógł zagrać choć wlażł-kotka! *Al propos*, nie zapomniałeś pan grać przez te czasy?

— Nie, ale fortepianu u siebie nie mam jeszcze.

— Wszakże można wziąć jeden z naszych — żywo zawołała Cesia.

— Dziękuję pani; z Żytkowa od Gr... jużem sobie tymczasem zapisał wiedeński: ten postawię dla gości, a Erard'a u siebie przy łóżku.

— Jak pan swobodnie już tę swoją przyszłość nawet w drobnych szczegółach urządzasz! — z nieznaczném westchnieniem mówiła hrabianka.

— Sądzę, że nie mamy sobie do wyrzucenia: i pani musisz marzyć podobnie, wszakże słowo już dane!

Cesia zarumieniła się.

— O! rok jeszcze cały mamy przed sobą, a rok to tak długi!

I nagle stała się sentymentalną; chciała go rozculić, powąchała rezedy, położyła ją na

stoliku, tuż przy nim, niby dla poprawienia bransoletki; w istocie dlatego, by o niej zapomnieć i śledzić zdaleka, czy też nie zabierze jój Wacław. Ale on czytał dziś odczarowany w sercu i myśli wietrznicy, i choć go wdziękiem wspomnień młodości silnie pociągała, bronił się mężnie téj władzy, postanowiwszy nie poddawać.

Cesia wstała i poczęła chodzić po salonie.

— Nie zagrasz nam pan czego?

— O! chętnie! jeśli mi pani nie każesz wlażł-kotka.

— Nie, na ten raz uwalniam, nam nad panem litość... Wlażł-kotek zostanie dla kogoś innego, dla kogoś, co tyle tylko umieć, że się ledwie na nim pozna!—dodała z przyciskiem.— A dla mnie... Chopin'a! Spróbuj pan; ja tak lubię ten marsz z jego sonaty: to jakby widzenie, jakby przeczucie śmierci!

— Pani lubisz Chopin'a? — spytał Wacław siadając do fortepianu — to coś nowego! Od jakże to dawna?

— Od czasu jakżeś go nam pan zagrał tak słicznie, raz ostatni!—nie zniższana odpowiedziała idąc do szturmu. — Druga część tego

marsza jak śpiewna, jak mówiąca, jaka rze-  
wna!...

— A! a! początek także: zdaje się zpod ziemi  
wychodzić!— unosząc się już zawołał Wacław.

— Ja wolę tę część drugą... Zdaje się, że  
anioł ją śpiewa nad bladém ciałem zmarłego,  
unosząc się w powietrzu...

Ale Wacław już grał. Cesia chodziła po sa-  
lonie, to na matkę, która z niejaką dumą śle-  
dziła jój kroki, to na ojca, który na nią także  
ciekawém rzucał okiem, spoglądając.

Lecz skończyła się pieśń pogrzebowa, umar-  
ły tony czarowne, i Wacław pod wrażeniem  
jakiejs smętnej myśli, która z duszy jego dobyła  
się, niewzruszony został przy fortepianie, z opa-  
dłemi rękoma, ze spuszczoną głową.

— Ktoby się tego domyślił — przerwała mu  
Cesia, zbliżając się do niego — ktoby się to do-  
myślił, spojrzawszy na pana, żeś tak niedawno  
odziedziczył miliony... i fortepian Erard'a!

To mówiąc sparła się przy nim, i wzrok,  
którego znała potęgę, zimny, wyuczony, na-  
tężony umyślnie, wlepiła w podniesione jego  
oczy. Jakże nie miał zadrżnąć, gdy przez te

oczy pierwsza miłość, przebudzenie, sen anielski, patrzyły na niego, a z niemi słodkie wpiętych goryczy wspomnienie, z niemi pamięć więzów skruszonych, czarnej a lubej przeszłości, ozłoconej młodeimi dumami?

Oboje milczeli: milczeli i dwa czy trzy razy mignęły ich spojrzenia, spotkały się, unikały. wróciły ku sobie, aż Wacław rzekł cicho:

— Więc za rok dopiero?

— Co, za rok?

— Wesele pani? Muszę o tém wiedzieć, bom wcześniej zaproszony.

— Za rok, tak, za rok! — złośliwie odparła Cesia— za rok, lub prędzej może. Ale ja myślę, że pan mnie prowadzić nie będziesz do ołtarza, chyba odprowadzać?

— Wątpię!—rzekł sucho Wacław.

— O tej Frani mówią, że taka ładna, taka naiwna! — rozśmiała się. — Jakto jej musi być do twarzy, gdy w fartuszkuniosąc ziarno, dróbi z ganku zwołuje...

— Wić pani!—oburzony zawołał Wacław— że istotnie ślicznie jej wśród tej sielanki. wśród kurek i gołębi...

— A! nareszcie wynogłam, żeś się pan przyznał. Więc śliczna! Otóżto lubię, to szczerze— dodała złośliwie, ale ze wzruszeniem.—Opiszże mi pan przyszłą kuzynkę.

— Tak daleko jeszcze myślą nie sięgnąłem...

— To może sercem!— szczebiotała hrabianka.—Ależ śliczna! wszak śliczna!— powtórzyła z przyciskiem. — Powieść mi pan, blondynka czy brunetka, słusznia czy mała?

— Pani to wie doskonale, bo ją musiałaś nieraz widzieć w kościele.

— Nie! nie! przepraszam, nie mam zwyczaju oglądać się za siebie. A zresztą, nie byłam tak ciekawa.

— Więc na cóżbym ją pani opisywał?

— Masz pan słusność: nie warto!

Oboje zamilkli trochę znowu. Wacław od niechcienia decymami chodził po fortepianie; Cesia przeszła parę razy po salonie, i znów wróciła, naprzód wzrokiem, potem cała.

Wzięła bukiet rezedy ze stolika, ponosiła go chwilkę, zbliżyła się do fortepianu, i rzuciła go daleko na dękę, że się aż na ziemię stoczył. Wacław podniósł go i oddał jój z uśmiechem.

— Nie chcę go! — odparła Cesia — rzuciłam umyślnie; rezeda ninnie nudzi: mdły zapach, kwiatek niepozorny. Nie rozumiem dlaczego to sieją, dlaczego znoszą w ogrodzie i w salonie. A pan nie lubisz rezedy?

— Ja? — rzekł Wacław — lubiłem ją dawniej, dzisiaj...

— Dziś pan woli zapewne maki polne, asterki wiejskie i nogietki!! Cha! cha! — poczęła się śmiać do rozpuku, ale takim przymuszonym, nienaturalnym śmiechem.

— Być może.

Na tém zerwała się rozinowa, gdyż właśnie wpadł do salonu ścigający Wacława z Cieleńciewiczem pan Maurycy Hołobok, który spieszył, jak powiadał, wyrzucić swój wpływ na młodzieńca, i objąć nad nim przewodnictwo moralne — na korzyść listy prenumeratorów Trzytygodnika i Dwuniesięcznika...

Przywitawszy się ze wszystkimi, literat popieszył odrekomendować się (wyraz nie mój, ale własny pana Maurycego) hrabiemu Wacławowi, do którego przylgnął zaraz ze szczególną zawziętością, wsiadłszy natychmiast na

oklepane stołeczne nowinki muzykalne, których za lep użył, i mówiąc o Rubinim, o Pascie, o koncertach, o sztuce, o ocenieniu jój, o Thalbergu, o Liszcie, a dalej potrochu o sobie, prenumeracie i swojém piśmie....

Chodziło mu bardzo, żeby swém paplaniem wysokie o sobie dał wyobrażenie; opowiadał jak pił z Lisztem kiedy ze stolicy wyjeżdżał, jak za pan brat chodził z Rubinim, jak Henselt pomimo swój dumy bił czołem jego teoryi muzykalnej i jemu, jak wzniosły obmyślał sztuki system filozoficzny; dalej nastąpiły kawałki o artyzmie, o exekucyi, o pustyni Dawida — i t. d. i t. d....

Wszystko to szybko, niezgrabnie, ale efektywnie przesuwał przed milczącym Wacławem. spiesźnie, gwałtownie, sądząc, że go tą fanfarnadą oczaruje i olśni. Niestety! łatwo jest poznać farbowane lisy: fałsz widać przez pożyczane pióra, i byleś je żywiej potracił, poleca garściami, a zresztą kto głupi z urodzenia, temu żadne naukowe smarowania po wierzchu na to kalectwo nie pomogą.



Tak i tu się stało; przecież literat-estetyk-wydawca nie zważał, że pożądanego celu nie dosięga, nie mogąc przypuścić żeby admiracyi nie wzbudził. Co chwila wpadał on na swe unniemane teorye, na swe pojęcia nowe, i prędko dodawał:—„Ale nie czas tu rozwijać pomysły *moje* (!): pracuję nad obrobieniem ich, będę miał zaszczyt u pana w domu”....

Lub:

— „Teorye o których tu tylko napomykam, myślę wkrótce obszerniej rozwinięte rzucić na świat. Nie taję, że ich nowość i śniem sobie pochlebiać oryginalność, musi wywołać oppozycyą, krytykę, ale to los wszystkich śmiałych nowości (!!): jestem do tego przygotowany, wiem że cieri czeka zboląłą skroń moją”!

Najpocieszniejszym było, że to, co ten jego-ność podawał za tak oryginalne, za nowe, było oklepanyin, wywłóczonyin już po tysiącu dzieł i dzienników *trueisnem*, jak to Anglicy zowią; ale niezmieszany Hołobok, mając wszystkich za takich bałamutów, jak sam był, śniało sobie ruszał dalej, pewien, że wszystkich odurzy, zaczmuci, że się nikt na nim nie pozna, a ci co



zrozumieją łatwe jego szarlatanerye, nie odważą się o nich wyrzec głośno, obawiając się Dwumiesięcznika i Trzytygodnika.

Wacław słuchał, zdziwiony tylko zuchwalstwem, wielomównością odurzony, nie mogąc pojąć co znaczy ten popis tak pracowity. Tymczasem każde jego słówko chwycił pan Maurycy, i usiłował je, by się przypochlebić, ukazać czémś wielkiem; ale i to mu się nie udało, bo myśli prostych, jasnych i istotnie nowych Wacława pojąć nie był w stanie. Tego rodzaju ludziom błyskotki tylko i nowostki do serca: jasna prawda dla nich zbyt cicho i skromnie się pali.

Wszyscy byli utrudzeni Cielęciewiczem, który od godziny już głosił teorią swoją wśród salonu, i rozszerzał jej granice poza najistotniejsze społeczeństwa warunki; — gdy nowy gość przybył do towarzystwa.

Był to stary Kurdeśz wygolony świeżo, wyczupurzony, przy szabli, a pokorny, kłaniający się i sypiący grafem dobrodziejem, i ucałowaniem nóżek, jak z worka. Na widok jego stary hrabia pobladł widocznie: był to bowiem dzień,

w którym właśnie mógł zapowiedzieć odebranie kapitału, i na to się zanosilo z przybycia. Przyjęto go naturalnie jako najpożądańszego sąsiada i przyjaciela.

---

Przestrach starego Dendery zwiększył się jeszcze, gdy Kurdesz po herbacie, schyliwszy się niemal do kolan gospodarzowi, poprosił go na chwilkę rozmowy w osobności. Żywo przystał na to hrabia, łudząc się wśród grożącego niebezpieczeństwa nadzieją niewczesną; w głowie jego mieszały się najdziwsze pomysły, rozpaczał, to znowu roił nadzwyczajne jakieś posiłki; ale uśmiech zawiesiwszy na ustach, na czole spokój, okazując czułość i serdeczność niezmierną dla starca, poszedł z nim do sąsiedniego pokoju.

— Siadajże, siadaj, kochany stary mój sąsiadzie, — rzekł biorąc go wpół poufale — kto się tyle w życiu nadreptał, ma prawo odpocząć.

Na takie już słodycze zbierało się dłużnikowi, i rotmistrz tylko się skłonił pokornie, po-

gładził siwego wąsa, ale nie widać było, żeby go to do zbytku dotknęło, i tak począł:

— Ja hrabio mam małą prośbę.

— Co każesz! co każesz, kochany, szanowny sąsiedzie.

— Nie tajno JW. hrabiemu, — mówił rotmistrz— że mam córkę, którą dał Bóg do wzrostu dochować. Trafić się mogą ludzie, chciałbym ją za męża wydać wprzód, nim oczy zamknę; potrzeba, żeby widziano co ma i mieć może: ludzie jesteśmy, taki to zawsze coś znaczy. Pewnie to różnicy JW. panu nie zrobi, gdy mi kapitalik mój w terminie łaskawie wypłacić zechcesz....

— Z duszy serca! — zawołał szybko hrabia nie okazując najmniejszego zdziwienia ani zmieszania— najchętniej, bardzo dobrze, dziękuję ci bardzo, że mi tak wcześnie mówisz, bo przy moich wielkich spekulacyach, mogłeś mnie schwytać nieprzygotowanego.

To mówiąc, hrabia łykał ślinę, ale się nie schmurzył, choć sam nie wiedział jak zapłaci.

— Bardzo będę wdzięczny — rzekł Kurdesz — bo właśnie zatargowałem wioskę i ułożyłem już przedugodnie punkta.

— A! cieszę się bardzo! Jeśli wolno wiedzieć cóż to za wioska?

— To nie sekret, kupuję Ciemierniki.

— Ciemierniki! — rzekł głowę w górę podnosząc hrabia — Ciemierniki, od Farycewiczów! A! wiem! ale tam podobno jest wilk!

Szlachcie, którego najłatwiej było nastraszyć, zapytał żywo:

— Jakto? jakiż wilk?

— A! proces z Bogolubami o sukcesyą, której na Farycewiczach dochodzą; coś zdaje mi się nakształt 9, do 10 tysięcy rubli.

— To rzecz wiadoma.

— Życzę się jednak pilnować — dodał hrabia odchodząc i dłubiąc w zębach — przytém, rzekł, Ciemierniki, to glina, góry, lasu mało i zniszczony, wody nie; a po czemż dusza?

— Po pięćdziesiąt dukatów; mniej nie było można, majątki bardzo w górę poszły.

— To dosyć drogo, przytém na budowlę, na forszusy dosyć będzie potrzeba.

— A! toć to wiemy panie — rzekł wzdychając rotmistrz.

— Nie jest to zbyt korzystne kupno—począł powoli Dendera.

— Być inoże, ale to mi przyległe, a zresztą rzecz skończona.

— Skończona! no! to oczywiście pozostaje mi tylko powinszować, i nie ma co już mówić o tém. Ale dziś kupować majątek, przed ostateczném zregulowaniem inwentarzy, jest to narażać się na wyraźną stratę: majątki spaść muszą.

— Bóg to wie — powolnie rzekł szlachcic — Bóg to wie. Spadną zapewne, by więcćj jeszcze pójść w górę.

— A przytém — mówił ciągle formą rady przyjacielskiej hrabia — dla córki, dla przyszłego zięcia, kto wie, możeby kapitalik był pożądanśzy.

To mówiąc filuternie się uśmiechnął.

— A! a! powinienem panu powinszować córeczki, bo choć nie mam szczęścia jój znać, ale widzę, że to być musi i piękna i miła osóbka: wszakto i mojemu Sylwanowi tak głowę zawróciła, że mi pokoju nie dawał....

— Wielki to honor dla mojego domku — odparł szlachcic z ukłonem — ale to zwyczajnie fantazyja pańska....

— Zdaje mi się, że to coś więcej nad fantazyją?

— Za niskie to progi dla syna hrabiego — mówił rotmistrz przerywając rozmowę i sprowadzając ją na interes. — Więc mogę się spodziewać?

— A jakże, jakże! — wybuchnął hrabia głośniej — zapłacę ci, zapłacę w terminie, bądź spokojny! Ja nawet sam chciałem posłać cię spytać panie Kurdesz kochany, czy tych pieniędzy potrzebować nie będziesz. Właśnie bowiem zbieram wszystkie moje kapitały, ściagam je i chcę w moich spekulacjach na przyszłość się ograniczyć. Konfiskata klucza Słomnickiego uczyniła mnie ostrożnym, potrzeba się ścisnąć. Zostawię dzieciom i tak piękną, czystą fortunę, wszystkim długi pospłacam, córka dziś nie potrzebuje posagu, idąc za tak bogatego człowieka, jak marszałek Farurej....

— Więc możemy powinszować — kłaniając się spytał szlachcic.

— Dziękuję, dziękuję ci kochany rotmistrzu; i Sylwana też muszę ożenić, żeby się usatkwował: to szalona pałka.... Dzięki Bogu — mówił rozgrzewając się coraz—wychodzę z moich spekulacyj zwycięsko! No! klucz Słomnicki stracony: boli mnie to; ale znacznie więcej przyrobiłem fortuny, którą zrealizowawszy, kupię zapewne dobra ziemskie, nie prędzej jednak, aż przełknieny inwentarze... Tak, dziś kupować, byłoby płochością...

Mówił hrabia, a szlachcic uparcie milczał, niepokonany nieczem. Napróżno go z różnych stron zaczepiał gospodarz—nie dał się ująć: wása motal, trzymał się grzecznie i pokornie, ale od swego nie cofał. Hrabia ani wiedział, zkąd te 200,000 weźmie; jednakże obiecywał uiścić się w terminie, zawsze mając nadzieję, albo się od wypłaty wykreć, albo pieniędzy gdzieś pochwycić...

W kilka dni potem, Sylwan do interesów ojca się zbliżywszy, a swoich osobistych długów mając już po uszy, zawyrokował, że pora była myśleć o ożenieniu, i ruszył śmiało na polowanie posagowe. Pora zbyt była spóźniona, żeby do wód jechać: bogatsi już się porozjeżdżali do miast. Pożyczwszy więc kilkaset dukatów u Wacława, który po bratersku usłużył Sylwanowi, ubrawszy dwór swój w liberye świetne, powóz, konie i cały kawalerski swój porządek postawiwszy na najwyszukańszój stopie, ruszył do Warszawy, udając wołyńskiego magnata, po drodze sypiąc opisami swych tysięcy dusz, pałaców, przepychu do którego przywykł i świetnych familijnych związków.



Cesia pozostawszy w domu, innego rodzaju łowami zajęta była: usiłowała pociągnąć ku sobie Wacława, który od chwili jak tylko dojrzał jej zamiaru, ze wstrętem prawie począł od niej unikać. Nie czuł on odwagi i siły do boju: postanowił usunąć się od niego.

Palnik tak blisko był Wulki, że częściej u Kurdesza niż u siebie dnie spędzał nasz bohater, a życie tak mu się teraz wypłacało sowicie za doznane wprzód boleści i troski! Tak błogie, spokojne szczęście świeciło nad ich głowami, tak szybko płynęły chwile w towarzystwie księdza Wareła, Kurdesza, Frani, a nawet Brzozosi, ożywiającej swą wielomównością, ciekawością i tysiącem śmiesznośtek poważniejsze rozmowy; że bogacz zapominał o bogactwie, o świetle, i nie życzył tylko, by mu nic nie przerwało osnowy dzisiejszych dni jasnych.

Przywiązanie wzajemne obojga młodych ludzi, nie uchodziło już niczyich oczu: tak było wyraźne, tak się z niém nie kryli. Kurdesz oczekiwał tylko formalnego oświadczenia, które Brzozosia z kabały wnosząc, uważała za bardzo blizkie.

Codzień prawie Wacław z Palnika przychodził z książkami, z małemi podarkami, z wesołą twarzą do Frani, w której pokoiku, u koininka, z Brzozosją i rotmistrzem dnie spędzali. Chociaż go w różne strony ciągniono, nie czuł potrzeby innego towarzystwa, nie spieszył nowych zawierać związków, bo dziś starano się o nie, a wczoraj jeszcze odpychano je prawie. Jakże nie miał podejrzывать ludzi o próżność i chciwość?

Całym zajęciem jego było ukształcenie Frani, uczynienie jęj taką, jaką mieć pragnął. Szczęściem ona była jedną z tych istot uprzywilejowanych, którym Bóg dał serce wielkie i umysł silny, pojęcie bystre i jakby przeczucie wszystkiego co dobre, szlachetne i wzniosłe. Dla niej nauka była jakby czegoś śnionego, zapomnianego, łatwem przypomnieniem; a rzadko kto tak zdrowo i trafnie pojmował wszystko jak ona. Zdziwił się nieraz Wacław tęg jasności sądu, której spodziewał się w niej, a przecież go zdumiewała. Zdawało się, że sercem i czuciem zgadywała wielkie prawdy, których wprzód czuła pragnienie i potrzebę. Zresztą jestli tak

drogiem to ukształcenie sztuczne, to wychowanie powierzchowne, którym błyszczą panienki nasze? Co Bóg raz posiał w duszy, jeśli się w piękny kwiat rozwinie, nie skrzywią pierwsze lata młodości, wieleżto braknąć ma człowiekowi, choćby nie miał poloru i nauki? Wolę wieśniaka z poczciwem sercem, z głową otwartą, niż pół-mędrka co nie ma serca, a głowę ciasną, napchaną ogryzkami strupieszalój nauki.

Umysł Frani tém potężniejszy, że rozwinięty bez męki, swobodnie, samoistnie, potężny z natury, był przygotowany do przyjęcia wszelkiego pokarmu najłatwiej, najchciwiej: serce mu pomagało. Jakkolwiek w rzeczach umysłu odmawiają sercu udziału, ileżto razy ten zaparty pomocnik, do którego się nikt nie przyznaje, kryjomo głowę i rozum podpira: jak tajemnicza, cudowna siła, której dróg nikt nie zbadał, chodu nie dopatrzył, której nikt w twarz nie widział! Serce ma udział wszędzie i po dziele dopiero poznasz, że tam się wmieszało.

Jednego ranku Wacław i Frania siedzieli w małej izdebce, ożywioną wiodąc z sobą rozmowę. Brzozosia odeszła była na chwilę z klu-

czykami, gdy młody człowiek wstał z miejsca trochę wzruszony, ale poważny, zbliżył się do rotmistrzówniej i biorąc ją za rękę, zapytał:

— Panno Franciszko, wszak pozwolisz mi powiedzieć sobie wielkie i ważne jedno słowo?

Domysliło się dziewczę, spuściło oczy, umilkło.

— Milczenie, zezwolenie—rzekł Wacław zatrzymując rękę—nie potrzebuję mówić coś mogła wyczytać z oczu moich i mowy: kocham cię, silnie, szczerze, na wieki; powiedz, czy chcesz być moją?

Frania tak się zakłopotowała swém szczęściem choć go się spodziewała oddawna, że spojrzeniem tylko i uściśnieniem dłoni mu odpowiedziała; gdy i ciekawa ciwunówna wpadła nagle, a poznawszy co się święci, jak oparzona cofnęła się nazad pod jakimś pozorem do sieni, powtarzając nieustannie:

— Chwała Bogu, oświadczył się! chwała Bogu! jak Boga kocham, oświadczył się! Otóż jak mówiłam tak się stało... stało się... oświadczył się...

Tak sypiąc wyrazami bez związku, ani się spostrzegła, jak nos w nos spotkała się ze

starym, którego dość mocno w ramię uderzyła.

— Coto ci, panno ciwunówno?—spytał Kurdesz.

— A to pan! Już! już!—zawołała głos zniżając, ale tak jednak, że ją w całym domu słychać było—już! już! jak Boga kocham, już!

— Co już?

— Oświadczył się.

— Kto? co? komu? o co?

— A! nie udawajże rotmistrzu, nie niecierpliw mnie; któż, jeśli nie Wacław.

— Komu: pannie ciwunównie?

— Ale panie rotmistrzu, dajże mi pokój! Cóżto pleciesz! Frani! Frani! chodź! chodź!

I pociągnęła starego do pokoju za sobą co najrychleń, bojąc się jeszcze, by jej narzeczony nie uciekł.

Rotmistrz wszedł prawie przez nią wepchnięty, trochę sam niespokojny, szepcząc Zdrowaś Marya, które zwykł był pocichu i mentalnie we wszystkich ważniejszych życia okolicznościach odnawiać.

Zastał Franię u krosien schyloną, oblaną rumieńcem, ponsową i pomieszczaną, Wacława przy niej rozrzewnionego, z uśmiechem na ustach i całującego podaną mu rękę. Ujrzawszy wchodzącego starca, Wacław się podniósł i postąpił ku niemu.

Brzozosia tylko głowę pokazawszy, bojąc się spłoszyć swą przytomnością formalne oświadczenie, usunęła się nazad i stanęła na warcie u dziurki od klucza.

— Szanowny rotmistrzu—odezwał się Wacław—pozwól mi dziś podziękować sobie za to zaufanie, z jakim mnie do domu swojego przyjąłeś jak syna, nie obawiając się dozwolić mi starać o serce i przywiązanie swój córki, tego anioła waszłej szczęśliwej strzechy. Dziś przyszła chwila stanowcza: proszę cię o jej rękę, z jej zezwoleniem.

— Niech Bóg błogosławi, niech Bóg błogosławi — płacząc rzewnie i wyciągając ręce zawołał rotmistrz — nie byłem ślepy, widziałem dawno, żeście się sobie podobali. Wola Boża, dla mnie starego wielkie to błogosławieństwo

i nagroda... Ja cie kocham Wacławie, jak syna. ale...—Tu się zastanowił.

— Wszędzie jest jakieś ale, mój drogi chłopcze—kończył z westchnieniem stary.—Pomyśl, o pomyśl dobrze nad tém, co czynisz: młody. bardzo młody; pierwsze uczucie inoże przypadkowe masz za wieczne, a to dla ciebie dziś podobno niestosowna partya. Choć Bogu dzięki. szlachectwo nasze ledwie nie od wielu lepsze, choć inię ucziwe, choć i grosz się znajdzie; ale moja droga Franka prosta wiejska dziewczeczka, a tyś hrabia, tyś milionowy: ciebie inny świat pociągnąć musi.

— Mnie?

— Posłuchaj proszę, są to uwagi starej głowy, a otwartego Olla was serca. Musisz się zbliżyć do swoich, a cóż ona tam pocnie? Chcesz, żeby jej urągali, by się wiecznie paliła wstydem, nie znając ani obyczajów waszych, ani świata, ani mowy, ani języka.

— Ale ojcie kochany, jakiegoż towarzystwa Frania nie będzie ozdoba?

— Towarzystwa wedle Boga—rzekł szlachcie—to prawda, ale wedle świata. to rzecz in-

na; tam większy grzech nie umieć się uklonić, niż bliźniego skrzywdzić; straszniejszy występki nie paplać po francuzku, niż przysięgę złamać. Przebaczają wszystko, prócz drobnostek w które obwijają się jak jedwabnik w nici swoje. W tamtym świecie Frania będzie obcą.

— Ale ja tego świata chętnie dla niej się wyrzeknę!—zawołał Wacław.

— Słuchaj i czekaj — przerwał Kurdesz — dziś dobrze ci tak mówić, ale co będzie potem?

— Miałabyś mi nie wierzyć, rotmistrzu?

— Owszem, i kocham cię i wierzę ci, ale mojej drogiej Franki nie chciałbym dać tam, gdzie będzie niższą: ciężko mi na sercu, że ty ją bierzesz bogaty, możny... pan i panieniem i rzeczą...

— Wolałabyś innie widzieć sierotę Wacławem?

— Nie kryję, że tobym wolał; miliony nie są rzeczą zbyt specjalną. Kto ma czysty, mierzny mająteczek, a serce poczciwe, a głowę niezawróconą, temu te skarby są raczej kłopotem niż rozkoszą: pociągną go w świat fałszu, kome-dyi, kuglarstwa i zepsucia.



— Ale mój kochany rotmistrzu, ja ci mówi-  
łem i powtarzam, że tego świata nie chcę.

— Nie znając go!—przerwał Kurdesz—nie  
sztuka! Chcę właśnie, żebyś go poznał lepiej  
i wyrzekł się wiedząc co tracisz: toto lichu złe,  
ale powabne. Chcę, żebyś przyszedł do mnie pro-  
sząc o Franię, pewien, że tam cię nie nie znęci....

Wacław i Frania spojrzeli na siebie niespo-  
kojni.

— Takie moje pragnienie, myśl moja, rozkaz  
wreszcie: jeśli tu rozkazu potrzeba. Niech Wa-  
cław rok przynajmniej pożyje w tym świecie,  
wyprobuje swojego przywiązania, a potem, chę-  
tnie was i radośnie połączę.

— Rok! rotmistrzu kochany, to wiek!

— Chwila, kochany Wacławie, jeden zasiew,  
jedno żniwo. Tymczasem i ja się do weseliska  
przybiore; a jeśli wam tak smutno rozstać się  
na rok, chcecie, to się zaręczycie. Zresztą Wa-  
cław u nas bywać będzie i widywać się może-  
cie; tyłkobyśmy chciał, żebyś się trochę w świat  
puścił.

Zamilkli młodzi smutnie. Rotmistrz czując, że  
ich strapił, a nie mogąc od swego ustąpić, po-

czał się prawie wymawiać i nieledwie ich przeproszać.

— Pozwólcie—rzekł—na tę fantazyą starego: niech to tak będzie. Uchowaj Boże, chyba choroby na mnie: no, to przyspieszyń ślub wasz.

— Co ojcze mówisz! — z wyrzutem poczęła Frania.

— Zróbcie jak proszę — mówił stary — posłuchajcie.

— Dość mi, że taka wola rotmistrza — odleżał się Wacław, całując drżącą jego rękę — szemrać na to nie będę: nie taję, że rok ten wyda mi się w życiu najdłuższym; ale kiedy tak każesz...

— Mój drogi Wacławie—rzekł stary ściskając go—jestem przekonany, że to dla dobra waszego. Trzeba, żebyś świat poznał, żebyś swe przywiązanie wzmocnił, lub jeśli się okaże fantazyą tylko młodzieńczą, ognikiem—wola Boża! Wolę, żeby Frania przecierpiała rok i drugi, niżeli życie całe.

Żądanie starca zdawało się niezachwiane: musiano zgodzić się na nie; ale Brzozosia, która w tej chwili weszła z trzaskiem, rzuciła nan

okiem takiego gniewu, takiej wymówki, jakby go zjeść chciała, jakby go nienawidziła. Porwała tylko klucze ze stołu i wyszła tłumiąc w sobie urazę, do której się przyznać, nie wydając, że pod drzwiami słuchała, nie mogła. Ale idąc mruczała pod nosem:

— Zawsze ten człowiek musi swoim rozumem i po swojemu coś zrobić, a zawsze nie do rzeczy. Rok każe im czekać! Ślicznie, dobrze, rozumnienie robi co może, żeby się to rozchwiało, kiedy tu łapać trzeba jak ptaszka! Ale kiedy się mnie w niczem nie radzą, nie słuchają: wola wasza, z Bogiem. Gub sobie dziecko, wszakto twoje.



Mieczysław Zieliński



052684

\*KSIĘGARNIA\*  
ANTYKWARIAT

DOM  
KSIĄŻKI

Mieczysław Zieliński

Biblioteka Raczyńskich

**JK2500**



JK2500